2/12



Czasopis

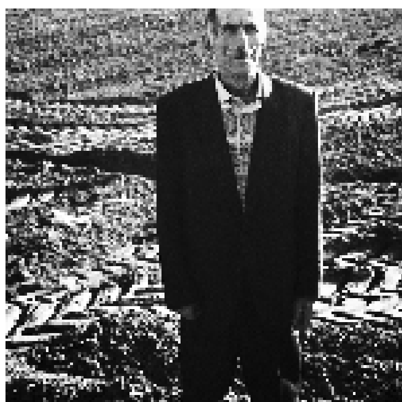
Białoruskie pismo społeczno-kulturalne, poświęcone zagadnieniom współczesności, historii, literatury i sztuki, miejsca człowieka w świecie.

Nr 2 (250). Люты – luty 2012. http://czasopis.pl ■ Cena 5 zł (w tym 5% VAT)

Zmicier Wajciuszkiewicz „Todar" Białoruś nazywa Grecją Europy wschodniej. Różnica – jego zdaniem – polega na tym, że Grecji pieniądze daje Unia Europejska, podczas gdy Białorusi Rosja *(str. 19)*



Chociaż do rozpoczęcia IX Międzynarodowego Festiwalu Podlasko-Poleskiego „Tam po majowuj rosi” zostały jeszcze trzy miesiące, znamy już... (str. 20)



Запіс канфрантацыі сведка гісторыі з сучаснай аўдыторыяй. Расповед тычыцца факту спалення беларускай вёскі Залешаны на Беласточ... (str. 27)



Да сённяшніх дзён не магу паверыць, што на Слонімшчыне ўжо не існуе Вялікакракоцкая сельская бібліятэка імя Янкі Купалы. Яе мясцов... (str. 50)

Fot. na okładce Janusz Korbel



Jerzy Chmielewski

Od Redaktora. Ten rok dla naszego środowiska białoruskiego na Białostocczyźnie zaczął się dość niepokojąco, a to w związku z nieprzyznaniem dotacji na kolejną edycję Festiwalu Muzyki Młodej Białorusi Basowiszcza. Taka decyzja Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji, nadzorującego mniejszości narodowe, jest trzecim przypadkiem nałożenia finansowych sankcji na organizację białoruską za nieprawidłowości w wydatkowaniu i rozliczaniu środków przyznanych z budżetu państwa. W połowie ubiegłej dekady takie kłopoty spotkały najpierw Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, a potem „Niwę". W drugim przypadku sprawa zakończyła się głośnym procesem sądowym, na szczęście z wyrokiem uniewinniającym. Także BTSK te problemy ma już za sobą, choć ich powód z dzisiejszej perspektywy wygląda dość banalnie. Przypomnę, że chodziło o kilka tysięcy złotych, wydanych na remont schodów w siedzibie towarzystwa, zamiast na imprezę. BTSK szybko znalazło jednak sposób na prowadzenie dotychczasowej działalności mimo zawieszonego na okres dwóch lat finansowania z ministerstwa. Aby nadal móc otrzymywać dotacje, po prostu powołano drugą – bliźniaczą – organizację. Istnieje ona zresztą do dziś i także dostaje dofinansowanie, głównie na projekty skierowane do uczniów pobierających naukę języka białoruskiego.

Kłopoty Białoruskiego Zrzeszenia Studentów – organizatora Basowiszcza – są jednak bardziej złożone. W odróżnieniu od BTSK czy też wydawcy „Niwy", które choć także formalnie są organizacjami pozarządowymi, ale działają w sposób zinstytucjonalizowany, BAS/BZS działa czysto społecznie i w dużej mierze na zasadach wolontariatu. Basowiszcza jest praktycznie jedynym przedsięwzięciem białoruskich studentów w ciągu roku. Jeśli festiwalu nie będzie, to nie będzie także BAS-u. Miejmy nadzieję, że do tego jednak nie dojdzie. Byłaby to bowiem wielka strata dla naszej mniejszości i kultury białoruskiej, a także szczycącego się wielokulturowością całego Podlasia.

Nieoficjalnie wiadomo, że problemy z ministerialnymi dotacjami na Basowiszcza zaczęły się dużo wcześniej, jeszcze za poprzedniej ekipy władz BAS-u. Ta społeczna organizacja, co roku latem zabierając się spontanicznie (co zresztą jest czymś wspaniałym) za swój festiwal, zbyt małą uwagę przywiązywała do spraw formalnych. Tymczasem wymogi stawały się coraz surowsze. Ale studenci swoje święto traktowali jak przygodę, starając się nade wszystko o atrakcje muzyczne i okołofestiwalową otoczkę. Trzeba przyznać, że pomysłów i fantazji – szczególnie ostatnio – im nie brakowało. Impreza zawsze się udawała. W tej euforii sprawy finansowe szły na bok i dlatego potem były problemy z rozliczaniem się z dotacji. Jestem przekonany, podobnie zresztą jak ministerstwo (rozmawiałem w tej sprawie z pracownikiem), że do kieszeni nikt nigdy nie wziął nawet złotówki. Naruszenia były tego samego rodzaju jak w przypadku BTSK. Środki z dotacji wydawano nie trzymając się ściśle kosztorysu imprezy.

Ministerstwo kilkakrotnie ostrzegało i pouczało. Kiedy dwa lata temu zmieniły się władze BAS-u, dano jeszcze jedną szansę. Dotację przyznano pod warunkiem, że BAS znajdzie solidnego partnera, który przy Basowiszczu dopilnuje spraw finansowo-księgowych. Radę tę jednak zbagatelizowano. Ministerstwo straciło w końcu cierpliwość i na ten rok dotacji dla BAS-u już nie przyznało.

Całej tej sytuacji się nie dziwię. Odpowiadam bowiem za dotacje przyznawane Gminnemu Centrum Kultury w Gródku i Fundacji Villa Sokrates. Dobrze wiem, jak trzeba się pilnować, aby prawidłowo wydać ministerialne pieniądze, a następnie się z nich rozliczyć. Moja instytucja w Gródku zaoferowała BAS-owi taką pomoc, gdy tylko pojawiły się kłopoty. Organizatorów Basowiszcza interesował jednak tylko wkład finansowy naszego ośrodka kultury i zaangażowanie gminy w techniczne przygotowanie imprezy. I choć dla Gródka ten festiwal jest także bardzo ważny, bo promuje przecież gminę, to współpraca z młodymi organizatorami z roku na rok stawała się trudniejsza. Dlatego gródeckich władz decyzja ministerstwa wcale nie zaskoczyła.

Należy mieć nadzieję, że odbywający się od ponad dwudziestu lat na podgródeckiej polanie Boryk festiwal niezależnej muzyki białoruskiej nie zniknie jednak z kalendarza kulturalnego i mapy Gródka, jak i całego Podlasia. Dalszy los tej imprezy zależy teraz od całego środowiska białoruskiego. Ministerstwo zapowiedziało, że ogłosi odrębny konkurs na organizację tegorocznego Basowiszcza, a nasze

organizacje powinny wyłonić nowego wnioskodawcę. Związek Młodzieży Białoruskiej namawiany jest, aby porozumiał się z BAS-em, ale decyzja jeszcze nie zapadła. Pomoc w organizacji festiwalu zapowiedział też Roberto Skolmowski, dyrektor Opery i Filharmonii Podlaskiej. Z jego deklaracji płynie wiele ciepła w stronę naszej społeczności. Poprzedniemu dyrektorowi, rodowitemu Kaszubowi, takiej sympatii brakowało.

Skolmowski już spotkał się z przedstawicielami naszych organizacji. Z rozmów wyłoniła się nieco inna koncepcja Basowiszcza. Otóż jeden lub dwa koncerty festiwalu miałyby się odbyć w amfiteatrze nowego gmachu przy ul. Odeskiej w Białymstoku, a główna część programu tradycyjnie odbywałaby się w Boryku. Oczywiście Gródek – jestem upoważniony, by to powiedzieć – cały czas jest dla Basowiszcza otwarty i deklaruje swoje finansowe i organizacyjne wsparcie na dotychczasowym poziomie.

Przy okazji maestro Skolmowskiemu mogę podpowiedzieć, że jest u nas gotowa do wystawienia białoruska rock-opera. Kilka lat temu napisał ją Hienadź Szemiet, profesjonalny muzyk po konserwatorium w Mińsku, który m.in. współpracuje jako instruktor z kierowanym przeze mnie Gminnym Centrum Kultury w Gródku.

На навагоднім балі ў Валілах-Станцыі к. Гарадка, пра які ў гэтым нумары піша Тамара Болдак-Яноўская, я пераканаўся, што мы забыліся ўжо, як сапраўды можна гуляць-баляваць. Забавы ў нас, як і ўсюды, даволі простыя і манатонныя. Музыканты выконваюць „свае” песні ў нязменным ад гадоў стылі, кожны танцуе як хоча, а пры сталах ніхто ўжо і не спявае.

Так склалася, што на гарадоцкім балі была з мужам Ніна Горбач з суседняга Міхалова, якая добра памятае яшчэ даваенны час. З’яўляецца яна жывой гісторыяй гэтай зямлі. На старонках мясцовай міхалоўскай газеты змяшчае свае вельмі цікавыя ўспаміны, а нядаўна гміна выдала альбом са здымкамі з яе багатага хатняга архіва.

Спадарыня Ніна перад вайною часта пабывала на міхалоўскіх салонах, таксама на тагачасных вялікіх балях у час карнавалу. І вось цяпер у Гарадку пасля поўначы пані Ніна не вытрымала, выйшла на паркет, і загадала танцаваць як належыцца. – Пакажу вам, як трэба гуляць, – сказала ў мікрафон. – Як гулялі калісь! Музыканты пачалі іграць вальс, а пані Ніна стала вадзірэем. Кіравала танцавальнымі парамі, устаўляла ўсіх у колы... *Para za parą, panowie na prawo, panie na lewo...* – рыхтык як даўней у шляхецкіх палацах.

Тыя, якіх пані Ніна „прымусіла” танцаваць на панскі манер, былі проста ашарашаны. Значыць, калі хочам жыць па-панску (а хочам жа, хаця гэтага ўголас не кажам), то можа і па-панску гуляйма. Гэта не пашкодзіць нашай беларускай культуры. Наадварот. ■



Tamara Bołdak-Janowska

***Nie wstydzić się korzeni*.** Dziwna sprawa: napadają na mnie wyłącznie nasi neofici. Osoby, których matki z Zinek pozmieniały się w Zenony i z dnia na dzień stały się neofitkami polskości i w tym duchu wychowały synów. Dodam: w duchu przestarzałym, patriarchalnym. Zwykle taki właśnie model polskości jest realizowany przez naszych neofitów.

Neofici narodowi nienawidzą tych, z których wyszli. Nienawidzą tak mocno, że stają się chamscy w stopniu porażającym wobec osób, które neofitami stawać się nie chcą!

Moja matka nie uznawała nowych imion naszych neofitów czy neofitek. Zinka to Zinka. Żadna tam Zenona.

Mówię o tym, bo zmienianie sobie imion nabrało charakteru epide-

mii w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku i zaowocowało neoficeniem dzieci.

Ninki pozamieniały się w Janinki. I jeszcze któraś w kobietę nową. Kolejna. I epidemia.

Neofici wstydzą się wszystkiego, co białoruskie i dodają do tego wrogą nienawiść.

Sokrat Janowicz u mnie na ostatnim zjeździe powiedział: ja się boję Polaków. Uznałam, że tę wypowiedź należy jakoś załagodzić, i załagodziłam, ale po kilku miesiącach zdanie to wróciło do mnie ze zdwojoną siłą i zmodyfikowane: ja się boję neofitów polskości. Boję się, ponieważ wśród Polaków znajduję przyjaciół, ale wśród neofitów polskości ani jednego. Są Polacy, którzy kochają język prosty, którym posługiwali się w dzieciństwie, żyjąc na tzw. Kresach, kochają folklor białoruski, ale wśród neofitów tego nie ma – jest wroga nienawiść.

Kolosalna różnica.

Z naszym neofitami polskości nie ma żadnej rozmowy! O czym rozmawiać, skoro część życia należy przemilczeć? O czym rozmawiać, skoro nie można wspomnieć dziadków, ani rodziców, „jeszcze" Białorusinów? Nie wiadomo, co powiedzieć, bo można się narazić na wrogą napaść.

Mówię o tym ze względu na tę wrogą nienawiść, która stale mnie dotyka. I nie tylko mnie, co dobrze widzę.

Gdyby nie ta wroga nienawiść, lekko uznałabym: a niech sobie zmieniają imiona, naród, religię, to nie mój cyrk, nie moje małpy. Jednak wroga nienawiść z ich strony, której nieustannie podlegam, usprawiedliwia moje sądy i to, że ośmielam się o tym mówić. Kolejny raz przychodzi mi na myśl wers z wiersza poety (Rainera Strobelta): O wszystkim trzeba mówić.

Tak! O wszystkim trzeba mówić!

Tymczasem nasi neofici usiłowali mnie zamęczyć w 2011 roku i zamknąć mi usta. Co dla mnie jest najważniejsze na świecie, moja utracona białoruskość, dla nich jest zupełnie nieistotne. Kopnęliby to z uczuciem obrzydzenia. Chcą zmusić mnie do pełnej asymilacji. Odmawiam. Pozostanę dwukulturowa.

Mniejsza z tym. Opowiem o tym w książce.

Coś, co jest człowieczeństwem, z kretesem upada u neofitów, którzy w jednej chwili zrywają z ciągłością swojej tożsamości i napełniają się ideologią przemiany, obnosząc się z pogardą do tych, z których wyszli. Ta pogarda zastępuje im tożsamość.

Tożsamość białoruska podoba mi się coraz bardziej, a że znika w zastraszającym tempie, to będę coraz więcej o niej mówić. Możemy mówić jedynie o naszym znikaniu. O znikaniu czegoś jak drugie płuco. Tracimy nasze poczucie humoru podczas asymilacji i tracimy ikoniczne spojrzenie. Na wspaniale urządzonym moim wieczorze autorskim w Gródku, w listopadzie, dziennikarz radia „Racja" zapytał, co mogę zrobić i co robię dla białoruskości. Pytał mnie, czy może zacznę pisać w języku białoruskim. Odpowiedziałam, że robię co innego: ja białoruskość pokazuję osobom, które albo jej nie znały, albo tracą poprzez samoasymilację, albo jeszcze ją czują, ale już jedynie jako prawosławni, jak przez mgłę pamiętający język dziadków. Robię to poprzez moje zjazdy. Literaturę z prawdziwego zdarzenia mało się dziś ceni. Możemy sobie poględzić w „patriotycznej" książce na temat białoruskości do woli, ale pokazać, unaocznić, czym to jest, i że ciągle jest, to właśnie jest sprawa wielka. Pokazać folkor, muzykę, kapelę, taniec, pogadać dwujęzycznie – moim zdaniem to sprawa wielka. Dokonać tego bez kompleksów – to jeszcze większa sprawa. Proszę o przyłączanie się i otrzymuję to. Przyłączają do tego mego żywego pokazu białoruskości ludzie zainteresowani kulturotwórczą różnorodnością. Jednakże, jeśli przybędzie jakaś Zenona, co wczoraj była Zinką, to będzie wołać o zaprzestanie mówienia w języku białoruskim. A niby dlaczego? To kuriozum. Odmawiam.

Nie umiem kłamać. Pewien ważny krytyk powiedział, że jestem jedyną polską pisarką, która nie przekłamuje życia.

Nie, nie przekłamuję. I dziękuję za te słowa.

Neofici pokazują się w moją stronę wielkim kłamstwem o sobie: już nie są Białorusinami czy Białorusinkami.

Dodałam dziennikarzowi z radia „Racja" moje marzenie: chcę umorusać język polski w języku białoruskim, tak jak Pankowski umorusał polszczyznę w ukrainizmach.

Pamiętać!

Pamiętać różnorodność!

Nie wstydzić się korzeni!

Nie wstydzić się języka białoruskiego!

Mój mąż zaczął nagle wypowiadać całe zdania w języku białoruskim. Z zachwytem słuchał opowieści Taciany z Narejek o ostatnich chwilach życia jej męża. Ja hlażu, a jon mleja – mąż powtórzył to zdanie ze dwa razy. Bardzo mu się spodobało wyrażenie „a jon mleja".

Cudnie miękka jest białoruszczyzna – stwierdził.

No więc chcę umorusać język polski w białoruskim.

A co mogę jeszcze?

Rozmawialiśmy w Gródku o językach z panem Władysławem Pietrukiem. Zauważył to, co też widzę: polszczyzna staje się uboga i nic nie wyraża, bo traci mnóstwo słów, które dokładnie nazywają problem, na rzecz gładkich formułek, które zagłaskują problem, relatywizują. Problem ma być opakowany jak w reklamie. Śmierdzące ścierwo w różowo-seledynowym celofanie.

Ja z kolei wspomniałam o odcięciu się polszczyzny od sąsiedzkich słowiańskich języków, od dopływów. To nie dziwota, że się kurczy. I media narzucają drewniany język – tutaj nie ma mowy o dialogu, rozmowie, tylko jest coś takiego: tu nadajnik, tam – milcząca masa.

Ta milcząca masa zapomniała, co to znaczy: rozmawiać. O wszystkim rozmawiać. Przecież tak ma być. Nadajnik i masa. Globalizacja to?

Nie.

To hodowanie zbiorowego milczącego głąba przez cwaniaczków przy nadajniku.

Wyczytałam w „GO”, że mój kolega po piórze, Mariusz Sieniewicz, w swej nowej powieści pt. „Spowiedź śpiącej królewny”, która ukaże się na wiosnę, wprowadził Białorusinkę jako ważną bohaterkę. Dzwonię, pytam: dlaczego Białorusinka?

Odpowiada: Bo Białorusini są najbardziej niechcianą u nas nacją, a my, Polacy, to niby już tacy cudowni Europejczycy.

Dziękuję, kolego.

To wspaniałe, taki pisarski czyn.

Najlepszy prezent na Nowy Rok, jaki kiedykolwiek mogę mieć od kolegów po piórze!

Kiedy mówię Mariuszowi, że pytam o to, bo nam się Zinki w Zenony nieustannie przekształcają i następnie zabraniają mówić po białorusku na białoruskich imprezach, on wykrzykuje: to jakieś kuriozum!

Ano właśnie. Nasi neofici to kuriozum!

Czego po mnie oczekują? Równie wiele robię dla i polskości, i dla białoruskości.

Nie. Nie będę zadeptywać siebie.

Wiem. Będę za to nienawidzona przez naszych neofitów, przez zajadłe neofitki. Będą na mnie „leczyć swoje kompleksy”, jak się wyraziła moja obrończyni na fb.

O wszystkim trzeba mówić – znowu rzucam się łapczywie na słowa poety, ponieważ wiem, że wzbudzę krzyk: to sprawa prywatna, czego ty chcesz, wywlekasz brudy.

Nie, to nie jest sprawa prywatna. Poza tym: dulszczyzna powinna nam być obca. No i masowa asymilacja, taka, jaką przedstawiłam, to nie są „prywatne brudy”. To kuriozum!!! ■



Сакрат Яновіч

Дзве Еўропы – два лёсы.

Еўропа падзяляецца не толькі на заможную заходнюю і на бедную ўсходнюю. Яна падзяляецца яшчэ не Еўропу **людзей** і на Еўропу **бацькоў**. Іначай кажучы, на тых, хто жыве доўга і дзеля самога сябе і тых, хто жыве дзеля дзяцей і, нагогул, даволі рана памірае.

Успомніўся Рышард Капусцінскі, родам з Палесся. Будучы вядомым рэпартажыстам і падарожнікам ён заўважыў, што бедныя ўсюды на свеце жывуць гэтаксама, як на ягоным галодным Палессі, яны знаходзяць у кожнай краіне і ў кожнай нацыі падобных да сябе бедакоў.

Цікава запрыкмеціць, што рэвалюцыю не толькі ў Расіі ўчынялі часта беларусападобенцы, прыкладам кажучы, сацыяліст Пілсудскі ў Польшчы або Врублеўскі ў Францыі, Касцюшка ў Амерыцы, артылерыйскі паручнік з Палесся.

Калісьці швейцарцы з альпійскіх гор былі вандроўнай басотай, а нашы прадзеды, званыя тады ліцьвінамі, жылі нябедна. Сітуацыя цяпер адмянілася – уся Беларусь, калі б магла, уцякла б на захад; не чуваць пра сённяшніх швейцарцаў, якім снілася б Амерыка, маючы валюту мацнейшую за славуты долар, хоць Швейцарыя, як і Беларусь, не мае капальняў.

Заінтрыгавалі мяне Яновічы з Крынак, раскіданыя па свеце. У Каляду пазваніў нейкі Яновіч з Масквы, дзед якога выехаў туды багата жыць у царскай Расіі. Цяперашняму Яновічу ўжо 88 гадоў, але трымаецца няблага, шчаслівы, што дзяцей сваіх парассылаў па Еўропе ды Амерыцы. Сам ужо чакае толькі лёгкай смерці. Дзівіцца, што гавару па-беларуску.

Іншы Яновіч, мой сваяк Лёва, асеўшы ў Нямеччыне, гаворыць са мною выключна па-нямецку і яму нават маскоўскае слова брата бярэ наваніты! Яго калісьці вывезці саветы ў Сібір і таму ўсякі рускі гук канчаецца выбухам нянавісці, бо расейскае ў яго памяці – голад, холад ды вошы.

Трэці сваяцкі Яновіч заядла збі-

раў грошы ды прадаваў родавую маёмасць, каб уцячы з агідных яму Крынак у цудную Варшаву, у якой, нарэшце, купіў дом на прадмесці Радасць, выракаючыся нават пазашлюбнага сына і мала не ашалеўшы ад шчасця займець зяцем шлянзака-інжынера.

Чацверты з Яновічаў, мой родны брат, разаслаўшы дзяцей па свеце ды пахаваўшы цесцяў, пачаў жыццё шчаслівага п'яніцы.

Прозвішча Яновічаў рэдкае на тэрыторыі Рэчы Паспалітай Абодвух Народаў. Нейкія Яновічы гербу Радван мелі супольную маянткову ўласнасць з Міцкевічамі гербу Порай на Завоссі, дзе нарадзіўся Адам Міцкевіч у 1798 г. Яновічы і Міцкевічы выводзіліся з калянізацыйнай лініі ад Рыгі да Гродна.

Каторагасьці году быў я ў Берліне, у якім на сваё здзіўленне даведаўся з тэлефоннай кніжкі пра некалькі сот адрасоў менавіта Яновічаў, і пра „Мост Яновіча" названы імем прэзідэнта горада ў палове дзевятнаццатага стагоддзя, нейкага слаўнага Яновіча. Аказалася, што мой янавічоўскі род паходзіць з нямецкіх некалі Інфлянтаў, прыналежных Вялікаму Княству Літоўскаму, адкуль быў Антон Тызенгаўз, наш міністр фінансаў і будаўнік новых Крынак на схіле 18-га стагоддзя, заснавальнік вялікалітоўскай крынкаўскай губерні.

Берлінскія Яновічы не шукаюць хлеба; робяць тое толькі польскія ды беларускія. Берлінцы добра жывуць і праводзяць водпускі ў Італіі, Грэцыі, Іспаніі. Крынкаўскія – жывуць для дзяцей, усё будуюць вілехаты і пасылаючы сыноў, дачок на лепшы хлеб у Швецыі ды Амерыцы, ненавідзячы галадранскіх саветаў, вашывую Расію, за піроржным дабрабытам якой прападалі даўнія дзяды.

Еўропа людзей канчаецца на паўночнай Фінляндыі і паўднёвай Аўстрыі. Далей цягнецца потскамуняцкі кантынент амаль першабытных бацькоў са зверскім інстынктам, ідэалам якіх уцячы на казённую работу або паставіць хату нашчадным пісклятам. Яны не жывуць, а трываюць. Гэта чалавекападобенцы. Неандэртальцы. ■



Janusz Korbel

Nikogo nie przekonam. Wiem, że nikogo nie przekonam do tego, dlaczego jestem przeciw obecnemu przywilejowi, jaki posiadają gminy, ale przynajmniej podzielę się swoimi myślami na ten temat i gorącymi doświadczeniami sprzed kilku dni. W połowie stycznia w parlamencie miało miejsce czytanie społecznego projektu zmiany Ustawy o ochronie przyrody. Projekt ten powstał w odpowiedzi na fiasko dekady wszelkich starań o utworzenie lub powiększenie parków narodowych w różnych rejonach Polski. Scenariusz był zawsze taki sam: po miesiącach negocjacji, czasami przetargów, w końcu samorządy nie wyrażały wymaganej zgody i do utworzenia bądź powiększenia parku narodowego nie dochodziło. Było tak na Pogórzu Przemyskim, Mazurach, w Białowieży. Zawsze park narodowy był dla kogoś przeszkodą w jego interesach. Warto tu wspomnieć, że wbrew popularnej opinii Polska nie jest w czołówce Europy jeśli chodzi o powierzchnię objętą parkami narodowymi. W Polsce parkami narodowymi jest objęty zaledwie 1 proc. powierzchni kraju! Niewspółmiernie mało, jak na zachowane u nas jeszcze walory przyrodnicze. Najwięcej przetrwało ich właśnie w naszym województwie, co niektórzy politycy nazywają „barierami w rozwoju". Przecież nasze zabytki nie mają się co równać zabytkom europejskim, a właśnie przyroda jest czymś wyróżniającym nas od reszty. Nie przyroda „przystrzyżona", a przyroda dzika, ukazująca cud naturalnych procesów, nie uporządkowana gospodarka leśna czy parki kulturowe – tych w Europie jest pod dostatkiem i raczej nie mamy co z nimi konkurować. Możemy sobie żartować, nazywając rezydencję Branickich „Wersalem północy", choć z Wersalem ma

on tyle wspólnego co nadnarwiańska chata mojej prababci z pałacem Paca w Dowspudzie. Nasz krajobraz, nasza tożsamość i ostatki przyrody europejskiej są największymi skarbami kraju. Białoruska tożsamość wiąże się dla mnie z zachowaniem wyjątkowego w skali europejskiej krajobrazu i kontynuowaniem związków z korzeniami kulturowymi.

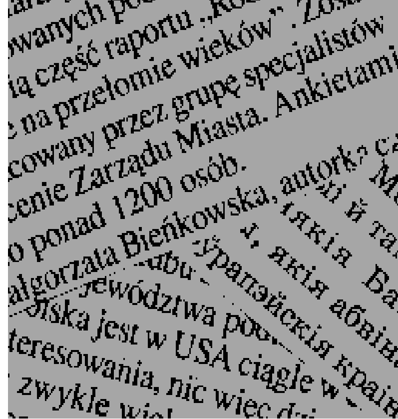
Rezygnacja z posiadanego przywileju nie jest akceptowana przez uprzywilejowanych. Mimo to, mieszkając od wielu lat w Białowieży, sam zbierałem podpisy pod zmianą zapisów ustawy (odbierających przywilej weta) i cieszyło mnie liczne poparcie ze strony młodzieży z puszczańskiego regionu. Wszak odbieraliśmy sobie „przywilej" mówienia „nie bo nie" dla powiększenia lub tworzenia parków! Ale odbieraliśmy po to, żeby zacząć uczciwe rozmowy i żeby zacząć naprawdę chronić dziedzictwo przyrodnicze! W dniu, kiedy Krzysztof Worobiec – mieszkaniec małej wsi Kadzidłowo na Mazurach – czytał w Sejmie społeczny projekt drobnej zmiany w ustawie, zastępując słowo „uzgodnienie" słowem „konsultacje", udzielałem wywiadów lokalnym mediom, próbując wyjaśnić, że prawdziwe porozumienia rodzą się tylko wtedy, kiedy wszyscy uczestnicy platformy dialogu mają te same prawa. Ktoś może mi zarzucić, że zniesienie obecnego narzędzia w postaci „weta" w rękach samorządów pozbawi je wpływu na decyzje podejmowane przez rząd, bo z opiniami przecież nie trzeba się liczyć – jak powiedział starosta hajnowski. Ale przecież nie chodzi o jakiś obcy rząd! Psim obowiązkiem rządu jest zapewnienie najlepszych rozwiązań w interesie wszystkich obywateli kraju, także nas, żyjących tutaj. Zamiast bronić zapisu dającego gminom prawo „liberum veto" (pamiętacie, do czego doprowadziło to w rękach polskiej szlachty?) trzeba raczej skupić się na takim dopracowaniu nowego kształtu zapisu w ustawie, żeby zagwarantować osłonę interesu gmin (np. ustawowego zapisu zwrotu rekompensaty za utraconą część podatku gruntowego) jeśli jakieś obszary leżące w ich granicach będą przyłączane do parku. Proszę zauważyć – jeśli chodzi o Puszczę to nie są to tereny będące własnością gmin, tylko Skarbu Państwa, czyli całe społeczeństwo ma prawo o nich decydować. Nie warto wojować ze społeczeństwem, lepiej przekonać go do swoich racji a wówczas nikt nie będzie przeciw zrekompensowaniu strat, jeśli tylko będzie można je wiarygodnie przedstawić. Park narodowy, będący w wiecznym konflikcie z mieszkańcami, nie ma przyszłości! Może jestem niepoprawnym optymistą, ale wierzę w mądrość ludzi i powszechne dążenie do sprawiedliwości. Wierzę też, że żyjemy w na tyle wolnym kraju, że próby oszukania interesów lokalnych społeczności byłyby natychmiast ujawnione przez środki przekazu. Nie potrzeba bandyckiego „liberum veto", wystarczy rzetelny dialog.

Na marginesie, kompletnie niezrozumiałe było dla mnie wystąpienie w Sejmie posła Eugeniusza Czykwina. Ten zasłużony dla mniejszości poseł przedstawił sytuację wokół Puszczy, jako niemalże zamach ekologów i przyrodników na... Białorusinów! Wspomniał on mianowicie o wyludnianiu się wsi spowodowanym bezrobociem, będącym według posła wynikiem... ochrony przyrody. A moim zdaniem objęcie Puszczy Białowieskiej w całości parkiem narodowym jest ostatnią szansą, by Hajnówka stała się centrum o znaczeniu krajowym i międzynarodowym – prawdziwą bramą do najznamienitszego w Europie parku narodowego i żeby zatrzymać młodych ludzi w lokalnym rynku pracy.

Wiem, że różnię się tu diametralnie z lokalnymi politykami i nikogo pewnie do swoich poglądów nie przekonam. Kiedy jednak oglądałem w Internecie transmisję z Sejmu, zadzwonił kolega z Hajnówki, przysłuchujący się też tej transmisji i poruszony powiedział: „Nasz poseł tymi słowami prowadzi do zamknięcia nas w skansenie. Chce żebyśmy może jeszcze w łapciach chodzili?! Nasłuchał się opowieści emerytowanych drzewiarzy i nie widzi, że my młodzi mamy nieco inne ambicje". Autor tego telefonu ma 30 lat, jest Białorusinem. Anonimowy autor wpisał wkrótce na blogu puszczańskim, który prowadzę od dwóch lat, takie zdania: „Pan Czykwin to do kabaretu się nadaje. Konkluzja z jego przemowy jest bowiem następująca: Drwal, pilarz, tracz, stolarz, cieśla - to zawody przypisane (na wyłączność?) osobom narodowości białoruskiej. Naukowcy i ekolodzy dążący do ochrony Puszczy Białowieskiej - to wyłącznie Polacy, którzy swoimi działaniami zmuszają Białorusinów do migracji (za pracą), względnie wymuszają ich polonizację (jeśli chcą pozostać). Wniosek: zmiana zawodu pociąga za sobą zmianę narodowości. Poseł Czykwin dokonał wiekowego odkrycia, czy też może jego nienawiść do wszystkiego co polskie sięgnęła już zenitu?".

Bolesne słowa, niesprawiedliwe, dzielące. Może jednak jest możliwość porozumienia, spotkania na płaszczyźnie wspólnych wartości. Bo o wartościach musimy rozmawiać. Bo kultura i przyroda są wartościami. Bo także w interesie Polaków powinno być zachowanie Białorusi w Polsce, na ziemiach, których historia nie jest jednowymiarowa.

P.S. 20 stycznia minister środowiska Marcin Korolec odwołał dyrektora Białowieskiego Parku Narodowego, Zdzisława Szkirucia, z powodu naruszenia dyscypliny finansowej. Minister nie zajmuje się innymi pracownikami parku narodowego – do jego kompetencji należy tylko powoływanie i odwoływanie dyrektora. Ministerstwo Środowiska wkrótce ogłosi kolejny konkurs na nowego dyrektora Białowieskiego Parku Narodowego. Będzie to już czwarty konkurs w ostatnich dziesięciu latach – w tym czasie parkiem kierowało pięć osób. ■



Opinie, cytaty

– Podlasianie mają to szczęście, że należą do tej części społeczeństwa, która ma swoje stabilne korzenie, tu mieszkają ludzie wielu narodów. Ten tygiel kulturowy, który jest wielkim skarbem Podlasia trzeba chronić za wszelką cenę. W nim zasadza się odmienność, która w sztuce jest szalenie istotna.

Roberto Skolmowski, dyrektor Opery i Filharmonii Podlaskiej, „Kurier Poranny”, 15 stycznia 2012

– Tacy ludzie, jak panowie Czykwin i Cimoszewicz, mają zapewnione miejsce w parlamencie nie tylko ze względu na to że są „swojakami” (choć akurat pan Cimoszewicz to bardziej przyszywany „swojak”), ale ze względu na to, że mówią ludziom to, co oni chcą usłyszeć i to jest ich „siła”. Ale by to zrozumieć to po prostu trzeba tu żyć.

Komentarz internauty na blogu puszcza-bialowieska.blogspot.com, 15 stycznia 2012

– Відавочны рэгрэс Басовішча як фестывалю за апошнія 2 гады. Але ж які б фэст ня быў, ён адбываўся. Гэта ўжо традыцыя для шмат каго з беларусаў – паехаць на Басовішча паслухаць добрую музыку, выпіць піва з палякамі, адчуць блізкасць народаў. Асабліва актуальны любыя замежныя пляцоўкі для аматараў музыкі пасля ўзнаўлення спісаў забароненых гуртоў. Дзе яшчэ паслухаць Лапісаў, Крамбамбулю? У Маскву да іх ехаць?

Алег, Forum.poranny.pl, 16 stycznia 2012

– Mimo drążącego światową gospodarkę kryzysu finansowego Pronar nie zwalnia, a wręcz stawia na inwestycje. Inwestycje to nasza odpowiedź na potrzeby klientów i wyzwania stawiane przez zagraniczną i krajową konkurencję, z którą z powodzeniem rywalizujemy.

Sergiusz Martyniuk, prezes firmy Pronar w Narwi, „Gazeta Wyborcza. Białystok”, 24 stycznia 2012

Сёньня беларускія пісьменьнікі ці то з адной, ці то з другой арганізацыі ня кажуць ужо, што яны служаць народу (магчыма, таму, што «народ памёр», як публічна заявіў Ігар Бабкоў пасьля рэфэрэндуму 1995 году). Але затое чуваць галасы, што беларускія пісьменьнікі – гэта ўсё ж «сумленьне нацыі». То бок, па змоўчаньні прымаецца, што нацыя страціла сумленьне, а таму пісьменьнік, у якога гэтае сумленьне засталося, павінен яго нацыі вярнуць. (...)Мне здаецца, што беларускія пісьменьнікі і да гэтай пары ня ўцямілі таго, што нарвэскія ці нідэрляндзкія пісьменьнікі выдатна разумелі ўжо 100 гадоў таму – пісьменьнік піша не для нацыі, а для чытача. Калі няма чытача, няма пісьменьніка.

Ян Максімюк, svaboda.org, 3 студзеня 2012 г.

Prawosławni nie żyją w izolacji. Siłą rzeczy przejmują pewne elementy z innych tradycji. Takim przykładem może być śpiewanie kolęd sławiących przyjście na świat Syna Bożego, powszechne na ziemiach Rzeczypospolitej zarówno wśród katolików, jak i prawosławnych. Im dalej na wschód, tym rzadziej spotykamy się z tym zwyczajem. Podobnie jest ze zwyczajem chodzenia przez duchownych po kolędzie, u nas powszechnym w obu Kościołach, katolickim i prawosławnym, a już w Rosji praktycznie nieznanym. (...)

Cerkiewnosłowiański jest niezwykle bogatym językiem, jeśli chodzi o możliwość oddawania treści duchowych. Święci bracia – Cyryl i Metody – pochodzący z Salonik, dokonali genialnego dzieła w drugiej połowie IX wieku, przekładając z języka greckiego na słowiański Pismo Święte i wszystkie podstawowe teksty liturgiczne. Prawosławni bardzo cenią sobie ten dar, zachowując cerkiewnosłowiański w liturgii, tak jak świat chrześcijaństwa zachodniego zachowywał powszechnie łacinę jako język liturgiczny do Soboru Watykańskiego II. (...)

Finowie modlą się po fińsku, Grecy po grecku, Francuzi po francusku, w Stanach Zjednoczonych po angielsku. Dobre przetłumaczenie tekstów cerkiewnosłowiańskich na język polski jest niezwykle trudne, potrzeba kilku pokoleń, aby dokonać tego wielkiego dzieła przekładu. Trudność wynika przede wszystkim z różnic w duchowości Wschodu i Zachodu.

Anna Radziukiewicz, prezes Fundacji Ostrogskiego, zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu Prawosławnego”, w „Kurierze Porannym”, 6 stycznia 2011



Фота Іааннны Хмялеўскай

Амаль 500 выканаўцаў (звыш 30-ці калектываў) з усёй Беласточчыны прыняло ўдзел у прэзентацыях „Гвязда і калядка", што 15 студзеня 2012 г. прайшлі ў Гарнізонным клубе ў Беластоку. *На здымку рэдкі ўжо ў нас аўтэнтык – калектыў „Малінкі" з Маліннік*

Minął miesiąc

W regionie. Na 23 tys. zł białostocki szpital wojewódzki wycenił opiekę nad Białorusinką, która w nocy 3 stycznia na przejściu drogowym w Bobrownikach niespodziewanie zaczęła rodzić. Świetnym akuszerem okazał się jeden ze strażników granicznych, a dzięki jego pomocy mały Białorusin, który przyszedł na świat na parkingu przed przejściem, ma się dobrze. Kiedy kobieta wraz z dzieckiem trafiła do szpitala, otrzymała rachunek za opiekę medyczną. Kwota 23 tys. zł to cena zabiegów okołoporodowych i dwutygodniowego pobytu Białorusinki i jej dziecka na oddziale. Kobieta miała ubezpieczenie medyczne, ale białoruskie, a nie polskie, dlatego szpital nie objął jej bezpłatną opieką medyczną. Białoruska rodzina, mimo radości z narodzonego dziecka, nie kryła zaskoczenia zaistniałą sytuacją. – Rozumiem, że życie dziecka jest jeszcze cenniejsze, ale powiem wprost, że tyle pieniędzy to dla nas naprawdę dużo – powiedziała świeżo upieczona matka telewizji TVN 24. Sprawą zainteresował się białoruski konsulat w Białymstoku. Gdy sprawa nabrała rozgłosu, szpital wszystkie procedury wycenił po kosztach i na fakturze widniało 11 350 zł. Zaczęły też napływać wpłaty od darczyńców, solidaryzujących się z białoruskim małżeństwem i ich urodzonym na granicy dzieckiem. Datki te zostały jednak zwrócone, bo za wszystko zdecydowała się zapłacić podkarpacka Fabryka Farb i Lakierów Śnieżka S.A.

Jak co roku, 6 stycznia Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia Eleos w Białymstoku zorganizował wigilię dla bezdomnych i potrzebujących. Chętnych do uczestnictwa w wieczerzy było tylu, że w świetlicy przy ul. Warszawskiej wszyscy się od razu nie zmieścili – musieli więc zasiąść na raty. Wigilię dla osób samotnych i znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej zorganizowano również w Centrum Kultury Prawosławnej przy ul. św. Mikołaja 5. Wcześniej, 4 stycznia, ponad dwudziestu więźniów wzięło udział w prawosławnej wigilii, zorganizowanej w Areszcie Śledczym w Białymstoku.

Basowiszcza 2012 zagrożone! Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji, które sprawuje nadzór nad organizacjami mniejszości narodowych, odmówiło Białoruskiemu Zrzeszeniu Studentów 150 tys. zł wsparcia na organizację 23. edycji Festiwalu Muzyki Młodej Białorusi. Powodem były problemy z rozliczeniem kilku ostatnich edycji imprezy. Równocześnie jednak oceniająca wnioski komi-



Фота Радаслава Кулешы

„Шчодры вечар нам і вам" – асаблівы калядны музычны праект прэзентавны быў спярша ў Гарадку, а пасля ў Міхалове і Крынках

sja przy ministrze, ze względu na rangę i znaczenie Basowiszcza, zarekomendowała ogłoszenie dla festiwalu osobnego konkursu. Przedstawiciele BZS (BAS-u) zapowiedzieli, że wystartują w takim konkursie i że szukać będą partnera, który pomógłby im w organizacji Basowiszcza. Pojawiły się informacje o potencjalnych partnerach, w tym Radiu Racja czy Telewizji Biełsat. Najbardziej realnym partnerem BAS-u może okazać się jednak Opera i Filharmonia Podlaska Europejskiego Centrum Sztuk, której szef Roberto Skolmowski zadeklarował festiwalowi szeroką pomoc. Pierwsze jego spotkanie z przedstawicielami kilku białoruskich organizacji w tej sprawie już się w styczniu odbyło. Nie podjęto jednak jeszcze żadnych wiążących decyzji. W ministerstwie również nie zapadła ostateczna decyzja w tej sprawie.

120 tys. zł do skarbonek zebrano podczas podlaskiego XX Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, który odbył się 8 stycznia, tym razem w Supraślu. Orkiestra „grała" jednak w całym regionie, a jedną z atrakcji była możliwość przejechania się specjalnym pociągiem z Białegostoku do Walił-Stacji, gdzie na podróżnych czekał piknik.

13 stycznia członkowie zespołu

Hej kolęda. Wyparty obrzęd przejścia

Od dzieciństwa przywykliśmy do widoku kolędników na Boże Narodzenie. Zwykle zaczynają swój obchód pierwszego dnia. Co to za święta bez nich?

Dzisiaj nawet jedna grupka małych śpiewaków już cieszy. Nieważne czy popychani potrzebą ekonomiczną, czy też ambicjami rodziców – należy im się nasze wsparcie. Nawet jeśli nie są członkami parafialnego chóru i nie zbierają na remont cerkwi. Choć mali, muszą burzyć coraz wyższe mury. Przebijają się przez domofony i szczekające psy, mury, które sami sobie „dla wygody" i prywaty urządziliśmy.

Jeszcze do niedawna wstydem okrywał się każdy malec, który znał raptem dwie-trzy świąteczne kolędy. Okres filipowego postu wykorzystywało się do nauki przynajmniej piętnastu! W podbielskich Studziwodach od kilku lat wracają z zapomnienia kolędy życzeniowe – dla nowożeńców, rodziny, w której urodziło się dziecko, czy też takiej, która oddaje syna do wojska. Wiedziano, które kolędy i kiedy można wykonywać. Śpiewanie tematu Narodzenia po Nowym Roku uchodziło za obrzędowe *faux pas*. Niepisane reguły są jak przepisy drogowe – naginamy je, ale nie możemy ich odrzucić, nie niszcząc całego systemu.

Ze świecą szukać takich, którzy jeszcze by *szczodrowali* w wigilię Nowego Roku, czyli – w języku podlaskich Białorusinów – *na hohotuchu*. A nie wiem, czy znaleźliby się jeszcze tacy, którzy pamiętają kolędników chodzących na święto Objawienia Pańskiego. Duchownego pojawiającego się po kolędzie z jordańską wodą trudno nazwać przecież kolędnikiem. Zgoła inny charakter ma ta wizyta, a i domowy budżet zwykle mocniej uszczupla. To właśnie ostatni dzień roku i pierwszy następnego jest esencją obrzędu. To jedyna noc w roku, kiedy kradzież stawała się hucpą, a chuligaństwo mieściło się w granicach humoru.

Mimo iż naturalnym miejscem dla kolędnika jest droga między jednym domem a drugim, to nie każdemu jest dane ominięcie współczesnego podziału w estetyce, który sprowadza śpiewanie do występu – a więc sytuacji z podziałem ról na dynamicznych artystów na scenie oraz statyczne audytorium na sali. Ta nowa estetyka nie tylko rozrywa tradycję, ale również sprowadza śpiew do rodzaju transakcji. Ty mnie rozwesel, a ja ci zapłacę. Przekłada się to niestety również na przyjmowanie kolędników. Ilu z nas zaprosiło kolędników za stół, poczęstowało ich *sałom* czy świątecznym ciastem? Gościnę zastępują pieniądze – zdaniem lewicowego filozofa Slavoja Žižka – piąty żywioł natury.

Świątki, święte wieczory, jak dawniej nazywano okres dwunastu dni między Bożym Narodzeniem a Jordanem, były czasem wyjątkowym w ciągu całego roku. Wiadomo, że pracę wieńczyło świętowanie, a post kończył się karnawałem. Ale to właśnie zimą parobek otrzymywał u swego pana dni urlopu. Wakacje, które dzisiaj kojarzą nam się z opalaniem, nie miały dawniej nic wspólnego z latem, podczas którego w polu czekała praca. Te dwanaście dni, podczas których ziemia odpoczywa pod puchem śniegu, to również chwile obfitości płynących ze świątecznego stołu, poczucia bezpieczeństwa oraz wolnego od rutynowych obowiązków czasu, wykorzystywanego zazwyczaj na prace domowe, charakterystyczne dla okresu postu.

Wróżono, a każdy z tych dwunastu dni symbolizował kolejny miesiąc nowego roku. To był czas odwiedzin dalszej rodziny, spotkań, wymiany poglądów. W szerszej perspektywie kształtowania myśli, czynienia refleksji nad istotą rzeczy i nabierania dystansu. Ale co tu dużo gadać, również zrzucenia ciężaru trosk i utopienia ich w tym co nalane, zaśpiewane, zatańczone. Nic tylko świętować! Dać się porwać zimowemu przesileniu, chwilowemu *fin de siecle*. Przyjąć zaproszenie do małego, corocznego obrzędu przejścia, który porządkuje nasz świat. I tutaj wracamy do punktu wyjścia – kolędników. Otwierając im drzwi, przyjmujemy zaproszenie. To jak za rok będzie ów obrzęd wyglądał, zależy wyłącznie od nas samych.

Tomasz Sulima

Takie bale już tylko u nas

Z 13 na 14 stycznia witaliśmy nowy rok według kalendarza juliańskiego. Jak zwykle biesiadne bale i zabawy przy muzyce białoruskiej odbyły się w bardzo wielu restauracjach i salach bankietowych. Ich koszt wynosił 150-350 zł od pary i był zdecydowanie niższy niż dwa tygodnie wcześniej na balach sylwestrowych. Tradycyjnie Radio Racja i Radio Białystok wyemitowały wielogodzinne programy, podczas których słuchacze przekazywali bliskim i znajomym życzenia noworoczne – telefonicznie, za pomocą sms-ów i drogą mailową. Podczas gdy w naszym regionie tradycja organizowania takich balów i zabaw nadzwyczaj się rozwinęła, to w innych częściach kraju niemal już wymarła. Do historii przeszły chociażby huczne bale noworoczne w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, organizowane niegdyś przez tamtejsze środowisko BTSK, na które przyjeżdżało też bardzo wiele osób z Podlasia.

stałego Kapituły Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego (Jolanta Sztachelska, Dariusz Kiełczewski i Marek Kochanowski) ustalili listę nominacji do nagrody za najlepszą książkę 2011 r. Spośród 30 zgłoszonych książek wybrano następujące tytuły: „Biały koń" Michała Androsiuka, „Książka meldunkowa" Jana Kamińskiego, „Śladami twoich stóp" Kamili Przychodzień, „Samosiejki" Teresy Radziewicz i „Kulki rtęci" Wojciecha Roszkowskiego. Nagroda zostanie przyznana w lutym.

15 stycznia w Białymstoku odbyły się XIII Prezentacje Zespołów Kolędniczych „Gwiazda i Kolęda". Doroczna impreza organizowana przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne ma na celu pielęgnowanie tradycji kolędniczych podlaskich Białorusinów. Na scenie prezentowało się ponad trzydzieści zespołów i wykonawców, także grupy dziecięce i młodzieżowe, łącznie kilkaset osób. Impreza została zrealizowana dzięki dotacji Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji oraz przy pomocy finansowej Kulturalnego Centrum Białorusi w Polsce.

Wieczory kolęd tradycyjnie odbyły się też w Bielsku, Siemiatyczach i wielu miasteczkach naszego regionu. W Gródku taka impreza została wzbogacona o wspólny koncert kolęd białoruskich w wykonaniu chórzystów ludowych (z zespołu „Jesienny liść") i grup młodzieżowych ze współczesnym akompaniamentem muzycznym. Utwory zaaranżował Paweł Oziabło, instruktor, pracujący w ośrodku kultury w Michałowie, akompaniując wokalistom razem

Dotacje z urzędu marszałkowskiego

Pod koniec grudnia zarząd województwa podlaskiego rozdzielił dotacje z zakresu kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury i tradycji na 2012 r., przyznane w wyniku otwartego konkursu ofert, ogłoszonego w połowie listopada. O dofinansowanie mogły się starać fundacje, stowarzyszenia i parafie. Poniżej publikujemy wykaz przyznanych dotacji na rzecz projektów i inicjatyw kulturalnych, skierowanych w całości lub częściowo do naszej mniejszości. Podobnie jak rok temu największego wsparcia udzielono organizatorom festiwali muzyki cerkiewnej w Hajnówce i Białymstoku. Co ciekawe, festiwal hajnowski ma taką samą numerację, jak festiwal Mikołaja Buszki, przeniesiony na początku ub. dekady do Białegostoku. Ten sztuczny dualizm został zatem przez urząd marszałkowski usankcjonowany, choć wiadomo że Fundacja „Muzyka Cerkiewna" na to się nie godzi. Z tak sformułowanego wykazu dotacji może wynikać, że na Podlasiu od ponad 30 lat odbywają się dwa wielkie festiwale muzyki cerkiewnej, gdy w rzeczywistości taki stan trwa ledwie nieco ponad dekadę.

- XXX Przegląd Kolęd Prawosławnych (wnioskodawca – Prawosławna Diecezja Białostocko-Gdańska) – 12 000 zł
- Ogólnopolski Festiwal „Piosenka Białoruska '2012" (Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne) – 10 000 zł
- XXXI Międzynarodowy Festiwal Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej (Stowarzyszenie Miłośnicy Muzyki Cerkiewnej) – 30 000 zł
- XXXI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej – „Hajnówka 2012" w Białymstoku (Fundacja „Muzyka Cerkiewna" w Hajnówce) – 30 000 zł
- „VIDOVDAN" Festiwal kultury serbskiej w Białymstoku (Parafia Prawosławna św. Apostoła Jana Teologa w Białymstoku) – 8 000 zł
- XVII Festiwal Wielu Kultur i Narodów „Z wiejskiego podwórza" (Stowarzyszenie Miłośników Kultury Ludowej w Czeremsze) – 14 000 zł
- „Białoruskie Zeszyty Historyczne" nr 37, 38 (Białoruskie Towarzystwo Historyczne) – 5 000 zł
- Uzupełnianie zbiorów Biblioteki Białoruskiego Towarzystwa Historycznego (Białoruskie Towarzystwo Historyczne) – 4 500 zł
- „Annus Albaruthenicus 2012" (Fundacja Villa Sokrates) – 3 500 zł
- „Monografia gminy Gródek" (Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Gródeckiej) – 4 500 zł
- Języki naszej modlitwy – dawniej i dziś. Międzynarodo-

z zaprzyjaźnionymi muzykami. Dodatkowo z krótkim koncertem świątecznym wystąpił Zmicier Wajciuszkiewicz z Mińska. Taka rozszerzona formuła imprezy – zainicjowana przed rokiem – była możliwa dzięki dotacji Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji. Koncert nosił nazwę „Szczodry wieczar nam i wam” i następnie został powtórzony u sąsiadów – w Michałowie i Krynkach.

18 stycznia przed Sądem Rejonowym w Bielsku Podlaskim rozpoczął się proces byłego proboszcza prawosławnej parafii w Boćkach. 56-letni Witalis G. jest oskarżony o to, że wykorzystując bezbronność upośledzonej dziewczyny, współżył z nią. Ta urodziła jego dziecko, co potwierdziły badania genetyczne. Oskarżony nie przyznał się do winy. Wyjaśniał, że nie doszło do gwałtów czy wykorzystywania siłą. Przyznał się do kontaktów seksualnych z dziewczyną za obopólną zgodą. Za popełnione czyny grozi mu do ośmiu lat pozbawienia wolności. Duchowny zaraz po postawieniu mu zarzutów prokuratorskich został zwolniony z wszystkich funkcji duszpasterskich.

18 stycznia Rada Gminy w Narwi nie wygasiła mandatu wójta, prawomocnie skazanego za złamanie nosa mężczyźnie, z którym się pokłócił. Część radnych zagłosowała w ten sposób, by wójt jeszcze został na stanowisku, bo gmina realizuje najważniejszą od lat inwestycję – przebudowę głównych ulic – której zakończenie planowane jest na koniec maja. 20 grudnia 2011 r. wójt Narwi Andrzej P. został skazany przez Sąd Okręgowy w Białymstoku na pięć miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Było to utrzymanie wyroku sądu pierwszej instancji. W przypadku samorządowca wyrok za przestępstwo umyślne oznacza utratę mandatu do sprawowania funkcji publicznej. W obecnie zaistniałej sytuacji ruch należy do wojewody podlaskiego, który wezwie radnych z Narwi do wygaszenia mandatu wójta. Jeśli tego nie zrobią, wyda zarządzenie zastępcze o takim wygaszeniu.

Między 18 a 25 stycznia obchodzono doroczny Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan. W tym okresie chrześcijanie różnych wyznań spotykają się na całym świecie na ekumenicznych nabożeństwach, modlitwach, konferencjach, koncertach. Zwyczajem przyjętym na nabożeństwach w ramach Tygodnia Modlitw jest gościnna wymiana kaznodziei – w kościele danego wyznania kazanie wygłasza duchowny innego Kościoła. W Białymstoku odbyły się msze i nieszpory, dyskusje na temat wyzwań, jakie stoją przed współczesnymi chrześcijanami, promocja tomiku poezji oraz koncert w Operze i Filharmonii Podlaskiej.

21 stycznia obradowała kapituła

wa konferencja Akademii Supraskiej (Fundacja „Oikonomos”) – 10 000 zł

- Oj, szli wałakalniki” – spotkania z białoruskimi tradycjami wielkanocnymi (Stowarzyszenie Kulturalne „Terra Incognita” w Krynkach) – 3 500 zł
- „Pieśni z okolicy” – XIX-wieczne pieśni białoruskie guberni grodzieńskiej i wileńskiej (Stowarzyszenie Kulturalne „Terra Incognita” w Krynkach) – 6 000 zł
- Letnie warsztaty etnograficzne „Tutaj się urodziłem” („JA NARADZIUSIA TUT”) (Stowarzyszenie na rzecz dzieci i młodzieży uczących się języka białoruskiego „AB-BA”) – 6 500 zł
- Koło teatralne w języku białoruskim „Zabawa w teatr” (Stowarzyszenie na rzecz dzieci i młodzieży uczących się języka białoruskiego „AB-BA”) – 8 000 zł
- Kroniki Podlaskie (Stowarzyszenie na rzecz dzieci i młodzieży uczących się języka białoruskiego „AB-BA”) – 5 000 zł
- Porozmawiajmy o… (Klub dyskusyjny AB-BY) (Stowarzyszenie na rzecz dzieci i młodzieży uczących się języka białoruskiego „AB-BA”) – 2 500 zł
- Scena Szczyty dzieciom – wystawienie cyklu spektakli dla dzieci i młodzieży (Związek Młodzieży Białoruskiej) – 6 000 zł
- Przeprowadzenie Promocji Podlaskiego Szlaku Kulturowego „Drzewo i Sacrum” wraz z działaniami edukacyjnymi (Związek Młodzieży Białoruskiej) – 14 500 zł
- Działalność białoruskich amatorskich zespołów artystycznych (Towarzystwo Kultury Białoruskiej w Białymstoku) – 6 000 zł
- Konkurs recytatorski „Ojczyste słowo” (Towarzystwo Kultury Białoruskiej w Białymstoku) – 4 000 zł
- Konkurs „Piosenka Białoruska” dla dzieci i młodzieży z przedszkoli, szkół podstawowych (Towarzystwo Kultury Białoruskiej w Białymstoku) – 4 000 zł
- Śpiewajmy Razem – regionalny festiwal dziecięcej piosenki mniejszości narodowych (Białoruskie Towarzystwo Oświatowe) – 3 500 zł
- IX Międzynarodowy Festiwal Podlasko-Poleski „Tam po majowuj rosi” (Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach) – 5 000 zł
- W poszukiwaniu zaginionego świata bielskich rzemiosł. Warsztaty rzemieślnicze jako miejsce integracji społeczności wielokulturowej (Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach) – 8 000 zł
- Kronika dokumentalna – osobowość i twórczość Wiktora Szweda (Stowarzyszenie Filmowo Artystyczne „MOVIOLA”) – 4 000 zł

nagrody imienia księcia Konstantego Ostrogskiego, przyznawanej dorocznie przez „Przegląd Prawosławny”. Laureatami 23. edycji nagrody zostali: Międzynarodowy Festiwal „Hajnowskie Dni Muzyki Cerkiewnej”, badacz starożytnego chrześcijaństwa, katolicki ksiądz prof. Marek Starowieyski oraz historyk z Cypru Charalampos Chotzakoglou.

Kilkanaście organizacji katolickich i prawosławnych (bractwa Trzech Świętych Hierarchów oraz Świętych Cyryla i Metodego, a także Katedra Teologii Prawosławnej) protestowało przeciw koncertowi grupy Behemoth w dawnej hali mięsnej w Białymstoku. Lider zespołu Adam Nergal Darski ma opinię bardzo kontrowersyjnej postaci, szczególnie w odniesieniu do symboli religijnych i Biblii. W liście do prezydenta Białegostoku, podpisanym przez wspomniane organizacje, czytamy m.in., że Nergal to „skandalista, wrogo nastawiony do chrześcijaństwa, profanujący symbole religijne naszej wiary”.

14. ogólnopolski ranking szkół ponadgimnazjalnych ogłosiły „Perspektywy” i „Rzeczpospolita”. Oceniano 500 liceów i 250 techników w całej Polsce. I Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Białymstoku znalazło się na 8. miejscu wśród szkół z najlepszymi wynikami na olimpiadach. Natomiast Technikum Elektryczne w Białymstoku jest na 5. miejscu w Polce w kategorii najlepsze technika i na 8. w kategorii technika z najlepszymi wynikami egzaminów maturalnych. W kategorii „najlepsze licea ogólnokształcące” najwyżej na liście znalazło się I LO w Białymstoku (23), III LO (28), zaś w kategorii „najlepsze technika” najwyżej w województwie uplasował się Zespół Szkół Elektrycznych w Białymstoku (piąte miejsce w Polsce).

Samorządowy portal województwa podlaskiego Wrota Podlasia zmienił szatę graficzną. Nowa zainspirowana jest systemem identyfikacji graficznej województwa, zaprojektowanym przez Leona Tarasewicza. W grafice dominują kolorowe kwadraty, charakterystyczny element wizualny Podlasia. Portal ukończył właśnie 8 lat.

Podlasie i jego największe miasto Białystok znalazły się na ostatnich miejscach w kraju pod względem średniej wysokości zarobków. W Białymstoku przeciętne zarobki wynosiły 3 tys. zł. Na przedostatnim miejscu znalazł się Lublin z kwotą 3020 zł. Niezmiennie od lat najlepiej zarabiają warszawiacy. W 2011 roku przeciętne zarobki w stolicy wynosiły 5,5 tys. zł, we Wrocławiu 4,3 zł, a w Poznaniu 4,2 tys. zł. Płace na poziomie 4 tys. zł odnotowano w Krakowie i Katowicach. Jeśli chodzi o województwa, to najwyższe zarobki odnotowano w mazowieckim (5 tys. zł), na drugim i trzecim miejscu (3,97 tys. zł i 3,8 tys. zł) były dolnośląskie i pomorskie. Pracujący w Wielkopolsce otrzymywali średnio po 3,7 tys. zł. Wynagrodzenia na poziomie 3 tys. zł odnotowano w województwach: podkarpackim, świętokrzyskim i warmińsko-mazurskim. Przez cały ubiegły rok najgorzej opłacani byli pracujący w podlaskim i lubelskim (2,9 tys. zł). Badania przeprowadziła firma Sedlak & Sedlak, która przez cały zeszły rok sprawdzała zarobki Polaków. Na podstawie danych od 92 tys. osób powstał szczegółowy raport, prezentujący mapę wynagrodzeń Polaków w 2011 r.

Adamowo to nowa wieś na mapie gminy Mielnik. Z wnioskiem o wyodrębnienie nowej miejscowości z dotychczasowej Adamowo–Zastawa rada gminy zwróciła się do Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji jeszcze w marcu ubiegłego roku. W Adamowie znajduje się największa stacja na trasie rurociągu „Przyjaźń”.

W kraju. 16 stycznia podczas uroczystej gali w Pałacu Prezydenckim wręczono nagrody 24 szkołom i 28 firmom w ogólnopolskiej akcji „Dzień przedsiębiorczości”. Wśród wyróżnionych znalazły się m.in. Zespół Szkół nr 3 z Bielska Podlaskiego oraz firma Pronar z Narwi. Akcję organizuje Fundacja Młodzieżowej Przedsiębiorczości. Ma pomóc uczniom szkół ponadgimnazjalnych w wybraniu zawodu. Fundacja organizuje kilkugodzinne praktyki w wybranych miejscach pracy, podczas których uczniowie mogą zweryfikować swoje wyobrażenia o wymarzonym zawodzie.

Działacze białoruskiej opozycji (Młody Front, Europejska Białoruś, Centrum „Współpraca bez granic”, komitet organizacyjny na rzecz stworzenia partii Białoruska Chrześcijańska Demokracja oraz Związek na Rzecz Demokracji na Białorusi) napisali list do ministra sprawiedliwości, w którym poprosili go o spotkanie. Chcą porozmawiać o toczącym się w Polsce procesie białoruskiego biznesmena (Aleksandra Żukowca) i o zakazie używania historycznej flagi Białorusi w Bydgoszczy. Autorzy listu oba przypadki określają jako przykłady prześladowania białoruskości. Resort deklaruje otwartość na rozmowy.

Dziennikarka TVN „dała plamę” podczas znanego porannego programu „Dzień dobry TVN”. Na początku pojawił się kucharz, który o prawosławnych mówił „Ruscy”, potem prezenterka spytała gości: „Jakie są różnice między Wigilią prawosławną a naszą **chrześcijańską**?”. Na deser tego festiwalu bzdur kucharz dodał jeszcze, że „prawosławni nie obchodzą Wigilii, a w święta chętnie jedzą szynkę”. Na stronie internetowej TVN w komentarzach posypały się gromy…

Prawomocne pozwolenie na budowę katedry Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego w Warszawie wydał wojewoda mazowiec-

ki. I choć budowa świątyni jeszcze się nie rozpoczęła, już wzbudza emocje i jest przedmiotem artykułów w prasie ogólnopolskiej, szczególnie zaś w mediach katolickich – Naszym Dzienniku i Radiu Maryja. Działka pod katedrę znajduje się na skraju parku, niedaleko znanego klubu Stodoła. I to właśnie lokalizacja katedry na wojskowej działce w obrębie parku budzi wątpliwości również wśród mieszkańców stolicy. Warszawiacy walczą bowiem o utrzymanie stałego obszaru Pola Mokotowskiego. Projekt katedry przygotowała białostocka pracownia ARKON Jana Kabaca. Staną dwa budynki – wysoka na prawie 32 m cerkiew o wymiarach 27 x 27 m oraz dziesięć metrów niższa siedziba Ordynariatu. Koszt budowy, mającej potrwać do 2015 r., szacowany jest na 41 mln zł, z czego 6,3 mln zł będzie wkładem własnym Ordynariatu, resztę pokryje Ministerstwo Obrony Narodowej. Starania o budowę katedry Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego w Warszawie trwały od 1994 r.

Nakładem Wydawnictwa Warszawskiej Metropolii Prawosławnej ukazała się książeczka „O dzieciach w Cerkwi". Autorką publikacji jest s. Magdalena z monasteru św. Jana Chrzciciela w Maldon w Wielkiej Brytanii, przekładu na język polski dokonała siostra Nikolaia. Zawiera ona szereg wskazówek dla rodziców, jak wychowywać dziecko w duchu chrześcijańskim.

W Republice Białoruś. 6 stycznia szef Centrum Praw Człowieka „Wiasna", Aleś Bialacki, odbywający karę 4,5 roku kolonii karnej o zaostrzonym rygorze, otrzymał list od Vaclava Havla, datowany na 15 grudnia, tuż przed śmiercią byłego prezydenta Czech. List został napisany po czesku, z podpisem i jego „firmowym" serduszkiem, które zawsze rysował przy podpisie. Dodano też tłumaczenie po białorusku. W dzień śmierci Havla 18 grudnia 2011 roku Radio Swaboda opublikowało jego życzenia dla białoruskich więźniów politycznych, podkreślając że jest to prawdopodobnie ostatni napisany przez niego tekst. „Drodzy przyjaciele! (...) Solidaryzuję się z wami i będę nadal wykorzystywać wszelkie możliwości, aby wraz ze wszystkimi przyjaciółmi zwracać uwagę społeczności międzynarodowej na łamanie praw obywatelskich na Białorusi" – napisał Havel. Swój list zakończył słowami: „Życzę wam wszystkiego dobrego, a waszemu krajowi wolności". List Havla miało dostać osiem osób, w tym także dwaj byli kandydaci na prezydenta Białorusi w ubiegłorocznych wyborach, Andrej Sannikau i Mikoła Statkiewicz, odbywający kary 5 i 6 lat pozbawienia wolności.

10 stycznia sąd w Mińsku skazał na karę 11 dni więzienia Aleksandra Barazienkę, niezależnego dziennikarza, współpracującego z Biełsatem. 15 dni więzienia otrzymał aktywista „Europejskiej Białorusi", Mikita Kawalenka. Obydwu sąd uznał za winnych złamania przepisów dotyczących organizacji akcji masowych i demonstracji. 8 stycznia Kawalenka pod siedzibą KGB w Mińsku rozwinął plakat ze zdjęciami więźniów politycznych oraz nieuznawaną biało-czerwono-białą flagę. Po kilku chwilach został aresztowany przez ludzi, którzy wybiegli z budynku. Razem z nim zatrzymano dziennikarza, który nagrywał protest kamerą.

Państwowa stacja radiowo-telewizyjna „Grodno" będzie od lutego nadawać audycje radiowe po polsku na teren Grodzieńszczyzny oraz Białostocczyzny – poinformował 16 stycznia rzecznik białoruskiego nadawcy państwowego, Biełteleradiokompanii. Audycje w języku polskim i białoruskim będą nadawane przez godzinę rano i wieczorem na częstotliwości 103 FM. Podczas audycji będą przekazywane informacje o wydarzeniach na Grodzieńszczyźnie, Białorusi i w Polsce z dziedziny polityki, ale także kultury i sportu. Białoruska inicjatywa jest odpowiedzią na nadające z Białegostoku Radio Racja.

Białoruski więzień polityczny Mikołaj Autuchowicz zostanie przewieziony do więzienia o nadzwyczajnym rygorze, gdzie są przetrzymywani najbardziej niebezpieczni kryminaliści. Spędzi tam dwa lata. Taką decyzję podjął 17 stycznia sąd w Iwacewiczach. Z inicjatywą zaostrzenia rygoru odbywania kary wystąpiła administracja więzienna iwacewic-



zvyazda.minsk.by

У першы дзень старога Новага года ў Любані з'ехаліся калядоўныя гурты раёна. Калядны абрад у Закальным (на здымку) унікальны формай выявы казы (казла) на дузе

kiego łagru nr 5. Według niej Autuchowicz nie chce się resocjalizować. Umieszczenie skazańca w więzieniu o nadzwyczajnym rygorze oznacza, że większość czasu spędzi w celi, będzie miał jedynie godzinny spacer. Zmniejszona zostanie również liczba przesyłek i spotkań z krewnymi. Mikołaj Autuchowicz pod koniec ubiegłego roku, protestując przeciwko szykanowaniu go przez administrację więzienną, podciął sobie żyły; jest trzecim więźniem politycznym, któremu zaostrzono warunki odbywania kary. W więzieniach o nadzwyczajnym rygorze są przetrzymywani Mikoła Statkiewicz, kandydat na prezydenta w wyborach 2010 r., i lider opozycyjnej organizacji młodzieżowej "Młody Front" Źmicier Daszkiewicz.

17 stycznia władze Białorusi zniosły ulgowy VAT na samochody wwożone na terytorium Białorusi w celach komercyjnych, dostosowując zasady naliczania stawki do tych, jakie obowiązują w unii celnej z Rosją i Kazachstanem. Do tej pory firmy sprzedające samochody osobowe w Białorusi płaciły VAT wysokości 20 proc. nie od wartości sprowadzonego pojazdu, tylko od różnicy między ceną jego zakupu a sprzedaży. Teraz 20 proc. podatkiem zostanie objęta cała cena. Samochody kupowane przez dilerów samochodowych od osób fizycznych na terytorium Białorusi będą objęte VAT-em na dotychczasowych zasadach. Białoruski resort finansów szacuje, że nowe importowane samochody podrożeją o 14 proc.

W Mińsku odbył się pierwszy konkurs dla białoruskich tłumaczy z języków słowiańskich. Uczestnicy tłumaczyli m.in. opowiadania polskie (cieszyły się największą popularnością), bułgarskie, serbskie, ukraińskie i czeskie. Konkurs zorganizowała grupa pracowników Katedry Języków Słowiańskich Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego we współpracy z internetowym pismem literackim „Prajdziswiet" i przy wsparciu finansowym kampanii społecznej „Budźma Biełarusami!".

19 stycznia Ministerstwo Sprawiedliwości Białorusi po raz kolejny odmówiło zarejestrowania partii Białoruska Chrześcijańska Demokracja. Minister sprawiedliwości, Aleh Śliżeuski, oświadczył, że w dokumen-

Marionetkowy związek w opałach

Kryzys gospodarczy zmusił władze Białorusi do znacznego ograniczenia wydatków budżetowych na działalność organizacji i stowarzyszeń. Między innymi zaniechano finansowania oficjalnego Związku Polaków na Białorusi. Jego działacze nie kryją rozgoryczenia. Od 2005 r., po sztucznym podziale wewnątrz organizacji, byli przykrywką dla władz, że polskiej mniejszości nic złego się nie dzieje. I argumentem, a raczej kością niezgody, Mińska w stosunkach z Warszawą. Polski rząd nigdy bowiem nie uznał rozłamowego związku, a wspiera drugi, teraz nie zarejestrowany.

Władze Białorusi, zaprzestając finansowania oficjalnego Związku Polaków, doprowadziły tę organizację na skraj bankructwa. Boryka się ona z długami, nie ma środków na opłaty komunalne, pensje i wydawanie związkowej gazety „Głos znad Niemna". Szukając funduszy, zdecydowano się nawet na wynajmowanie Domów Polskich, zbudowanych niegdyś przez polski rząd, na cele w ogóle nie związane z działalnością związku.

Dramatyczna sytuacja, w jakiej znalazła się organizacja, sprawiła że jej prezes Stanisław Siemaszko podał się do dymisji. Jego obowiązki póki co pełni wiceprezes Mieczysław Łysy.

Siemaszko z pewnością żałuje, że w ogóle w 2009 r. zgodził się stanąć na czele tego związku. Wspólnie z całą wierchuszką został bowiem objęty zakazem wjazdu do krajów Unii Europejskiej. Ta marionetkowa postać jest zresztą nieco zagadkowa. Przed objęciem funkcji prezesa Związku Polaków był znanym na Grodzieńszczyźnie biznesmenem. Wcześniej nigdy nie uczestniczył w działalności polskiej mniejszości. Nigdy też nie nauczył się języka polskiego, choć uczęszczał w tym celu na specjalistyczny kurs. W kontaktach z mediami, w tym polskimi, posługiwał się wyłącznie językiem rosyjskim.

Władze zresztą miały na niego haka i najprawdopodobniej wysunęły jego kandydaturę na prezesa, aby móc nim w pełni sterować. Tym hakiem było wspieranie przez Siemaszkę ruchu... niemieckiego. Był on bowiem przez pewien czas przedstawicielem Niemieckiej Unii Ludowej, w której imieniu wsławił się licznymi akcjami upamiętnienia na terenie Białorusi miejsc pochówku żołnierzy Wehrmachtu. Robił to bez zezwolenia i często w miejscach, w których zwłok Niemców nigdy nie odnaleziono. Białoruska państwowa prasa zarzucała mu obrazę weteranów. Jego działalność sprawdzała nawet grodzieńska prokuratura i o mało nie trafił do więzienia.

Jako prezes oficjalnego ZPB Siemaszko do Polski odnosił się ze złością i wrogością. Zapowiadał, że poda Warszawę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, w związku z zakazem wjazdu do UE dla niego i innych działaczy swojej organizacji. – Cholera z tą Polską! Chcę jeździć na Litwę, do Niemiec, do Francji. To jest poniżenie! – tak rok temu skarżył się w mediach.

Siemaszko w odwecie zaproponował rządowi w Mińsku zdelegalizowanie w Białorusi Karty Polaka. I dopiął swego. Pracownicy urzędów państwowych, posiadający Kartę Polaka, muszą ją zwrócić z powrotem do polskich placówek konsularnych. W przeciwnym razie będą zwolnieni z pracy.

tach złożonych w celu rejestracji dopatrzono się szeregu nieprawidłowości. BChD aktywnie uczestniczyła w kampanii przed wyborami prezydenckimi 19 grudnia 2010 r. Jej kandydat Wital Rymaszeuski za wezwanie do protestu przeciwko sfałszowaniu wyników głosowania został skazany na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu. Szef sztabu wyborczego Rymaszeuskiego, Paweł Siewiaryniec, został skazany na trzy lata ograniczenia wolności połączone z pracami poprawczymi.

Rodziny białoruskich więźniów politycznych wezwały do bojkotu zaplanowanych na wrzesień wyborów do Izby Reprezentantów, niższej izby parlamentu Białorusi. „Jakiekolwiek wybory powinno poprzedzić zwolnienie wszystkich bez wyjątku więźniów politycznych i ich rehabilitacja" – podkreśla komitet „Wyzwolenie", utworzony przez rodziny osób aresztowanych w Białorusi po wyborach prezydenckich z 19 grudnia 2010 r. Aktywny bojkot ma polegać m.in. na kampanii informacyjnej na temat programu wyjścia z kryzysu, domaganiu się uwolnienia więźniów politycznych oraz wyłonienia w wolnych wyborach nowego prezydenta, parlamentu i władz wszystkich szczebli.

W wywiadzie udzielonym chińskim mediom prezydent Łukaszenka zapowiedział modernizację systemu politycznego Białorusi. Doradzać mu w tym mają… Chińczycy. Chiński model jest atrakcyjny w oczach Łukaszenki, bo łączy w sobie dynamicznie rozwijającą się gospodarkę i twardy autorytarny reżim. – To próba przypodobania się Pekinowi – komentują niezależni politycy. I dodają, że w obliczu poważnego kryzysu gospodarczego Mińsk próbuje w ten sposób przyciągnąć chińskich inwestorów.

Białoruś będzie musiała wydać w 2012 r. 1,63 mld dol. na obsługę długu zagranicznego. To ponad dwukrotnie więcej niż w minionym roku (628,9 mln dol.). Większość tegorocznej obsługi długów zagranicznych pochłonie kredyt z Międzynarodowego Funduszu Walutowego – 563 mln dol. Na obligacje państwa białoruskiego przypada 440,8 mln dol. Kredyty z Chin będą kosztować 228,7 mln dol., pożyczki od Rosji i Euroazjatyckiej Wspólnoty Gospodarczej – odpowiednio 136,7 oraz 106,6 mln dol. (na razie Białoruś spłaca same odsetki), a kredyt od Wenezueli – 122,2 mln dol. Wysokość spłat wzrośnie skokowo w 2013 r. i 2014 r., kiedy to Białoruś będzie musiała wydać na nie odpowiednio 3 i 3,2 mld dol. Według prognoz zadłużenie zagraniczne Białorusi ma wynieść w 2012 r. 14,3 mld dol., czyli o 1,8 mld więcej niż w roku minionym.

Na świecie. 4 stycznia prezydent USA Barack Obama podpisał uchwaloną w grudniu przez Kongres ustawę zaostrzającą sankcje wobec reżimu Aleksandra Łukaszenki. Ustawa o Demokracji i Prawach Człowieka w Białorusi, jak brzmi jej oficjalna nazwa, rozszerza listę przedstawicieli białoruskiego rządu objętych amerykańskimi restrykcjami wizowymi i finansowymi, które wprowadzono we wcześniejszych ustawach o sankcjach, z 2004 i 2006 r. Nowe sankcje dotkną członków władz, którzy są bezpośrednio odpowiedzialni za tłumienie demonstracji po wyborach prezydenckich z 19 grudnia 2010 roku Ustawa zobowiązuje prezydenta do dalszego wsparcia dla telewizji Biełsat i innych mediów nadających programy zza granicy i przełamujących monopol informacyjny mediów reżimowych (Radia Wolna Europa, Głosu Ameryki, Europejskiego Radia dla Białorusi). Wzywa także Międzynarodową Federacją Hokeja na Lodzie do cofnięcia planów zorganizowania mistrzostw świata w hokeju w Mińsku w 2014 r. ■



svaboda.org



Вадохрышча ў беларускай сталіцы. Адным з першых месцаў, дзе пачаліся вадохрышчанскія купаньні, стала Цнянскае вадасховішча ў Менску

Крызіс і мы

Увесь свет змагаецца з эканамічным крызісам. Зразумела, кранае і хвалюе ён таксама нас на Беласточчыне. І вельмі жорстка адчувальны ён у Беларусі. Нядаўна папарасілі мы некалькі асоб, каб выказаліся, што пра гэта думаюць.

(рэд.)



Prof. Dariusz Kulesza

Musimy liczyć na siebie

Kryzys to konsekwencja tego, że utraciliśmy kontakt z rzeczywistością. Uwierzyliśmy, że koniunktura bierze się z nieograniczonego dostępu do pieniędzy, czyli kredytów bez pokrycia. Zapomnieliśmy o starych, dobrych cnotach protestanckiego kapitalizmu, czyli o pracowitości i oszczędzaniu. Zwłaszcza o tym drugim, bo jałowy pracoholizm jest takim samym niemal problemem jak irracjonalne życie na kredyt. Raczej na szczęście niż niestety okazało się, że rynek na dłuższą metę nie wytrzymuje reguł oderwanych od rzeczywistości, pozwalających „inwestować” pieniądze, których się nie ma. I nie przekonują mnie argumenty, że „rozwój” wymaga kredytowania bagatelizującego stan konta, tego, kto kredyt bierze.

Piszę o tym, ponieważ nie tracę nadziei, że ta kryzysowa lekcja przywróci nas realności i nauczy racjonalnie posługiwać się pieniędzmi. Ale „nas” to znaczy kogo? Nie wierzę ani politykom, ani bankierom, ani giełdowym graczom. Pierwsi nie są zainteresowani oszczędzaniem i racjonalizacją wydatków, bo nie na tym im zależy. Chcą władzy, którą ich zdaniem – nie bez naszej, czyli wyborców winy – uzyskuje się raczej obiecując, niż dyscyplinując wydatki. Bankierzy muszą pożyczać, bo z tego żyją. A ten przymus skłania do tracenia miary. Gracze giełdowi już dawno zatracili się w wirtualnym świecie spekulacji, który niewiele ma wspólnego z mierzalną wartością, na przykład, produkcji przemysłowej.

Skoro ci, którzy decydują, niespecjalnie są zainteresowani zasadniczymi zmianami, skąd optymizm? Między innymi dzięki ruchowi oburzonych. Rewolucja w północnej Afryce, poruszenie na Bliskim Wschodzie, głównie w Syrii, protesty w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, na przykład w Hiszpanii, a zwłaszcza nieposłuszeństwo obywatelskie w Rosji — wszystkie te ruchy, niezależnie od różnic, łączy jedno: udział ludzi, którzy sami się organizują, nie czekając na wsparcie swoich rządów, partii czy organizacji społecznych. Przynajmniej do części z nas dotarło, że nie możemy liczyć ani na polityków, ani na bankierów, ani na graczy giełdowych. Przynajmniej do części z nas dotarło coś więcej: liczyć możemy głównie na siebie.

Nie łudzę się. Zmiany, na które mam nadzieję, nie są ani powszechne, ani szybkie. One raczej mogą się wydarzyć, niż są nieuniknione. Co nam pozostaje? Nauka? Kultura? Zapewne. Najbardziej jednak liczę na zdrowy rozsądek każdego z nas. Wierzę w opór indywidualny. W końcu to my decydujemy o naszych wyborach. I to nie tylko tych politycznych czy kredytowo-inwestycyjnych. To ja decyduję o tym, czemu poświęcam swój czas i o tym, w co angażuję swój umysł i swoje serce. Jestem ostatnią linią obrony.

***Dariusz Kulesza**, prof. Uniwersytetu w Białymstoku, kierownik Zakładu Literatury Międzywojennej i Współczesnej Wydziału Filologicznego, badacz twórczości Sokrata Janowicza*



Сакрат Яновіч

Які наш лёс

Вельмі добры! Як ніколі раней. Памятаю сваё дзяцінства, у якое маці рэзала скібку хлеба, хаваючы бохан пад замок. Чакалася Каляды, каб смачна наесціся. Сённяшняя Каляда, гэта п’яная распуста і па-панску багаты стол. Беззрабоцце – гэта выдумка. Не працуе той, хто не любіць натугі. Гультай. У маёй гміне войт не можа дапрасіцца ахвотных на т.зв. чорную работу. Злуюцца на яго хамы, што замалыя дае дапамогі шматдзетным сем’ям. Дзецяробныя мужчыны-бацькі зусім не адчуваюць патрэбы шукаць заробку.

Я доўга жыву і магу раўняць, як жылося калісьці а як цяпершнім часам. У маіх Крынках амаль усе ездзяць аўтамі. Нават у вёсках. Зрабілася нормаю купля новых мэбляў. Сметнікі завалены старымі. Таксама адзеннем. Нікому не прапануюць паходжаны касцюм, бо зазлуе, абразіцца. А нібы гаворыца пра крызіс. Ці так у сапраўдны крызіс? Мяне інтрыгуюць дзеткі басоты ўчарашняй, бегаючыя з komórkami.

Памятаю колішнюю бяду, у якую папраўдзе босыя людзі цалавалі па руках за даматканую кашулю!

Я думаю так: наслухаюцца людцы пра крызіс у свеце і набіраюцца моды наракаць, марнуючы накуплены хлеб ды елкую саланіну. Бачу, чаго ходзяць у крамы,

самі пазабыўшы гаспадарак, парасяці і курэй. Кормяцца грашыма. Пытанне, адкуль іх маюць?

Крызіс адчуваюць заможныя народы, якім цяпер не так добра. Але не беларусы, што елі посную бульбу, а сала бачылі толькі святам. Сёння купляюць яны сала кілаграмамі, бо яно самае таннае і поўна яго ў крамах не толькі крынскіх. Селядцы нават даражэйшыя.

Сакрат Яновіч



Зміцер Вайцюшкевіч

Grecja wschodniej Europy

Zmicier Waiciuszkiewicz - Todar na styczniowych koncertach w Polsce nazwał Białoruś Grecją Europy wschodniej. Różnica – jego zdaniem – polega na tym, że Grecji pieniądze daje Unia Europejska, podczas gdy Białorusi Rosja. Przed powrotem do Mińska rozmawiamy o tym, jak wygląda kryzys w Białorusi i osobista sytuacja artysty.

Todar: Nie jestem ekonomistą i mogę mówić tylko o tym, co dostrzegam w codziennym życiu na Białorusi. Na przykład pieniądz trochę się ustabilizował po tym jak od wiosny do jesieni wartość jego spadła trzykrotnie. Ale sytuacja materialna ludzi nie jest dobra. Wielu wyjeżdża do Smoleńska, by pracować w fabrykach. Już nie tylko mężczyźni z małych miasteczek, ale także kobiety wyjeżdżają pracować w wielkich kombinatach. Matki zaczęły używać wielokrotnie pieluszek jednorazowych. Jednak mówić o kryzysie w Białorusi jest trudno, bo Białorusin jest taki jak w słowach mojej piosenki, naród pokorny, spokojny: *Byle by wojny nie było.* Najlepiej widać kryzys po tym, że Grodno i Brześć można teraz spotkać w supermarketach Białegostoku albo Warszawy. Kiedy dzisiaj byłem w Auchan, słyszałem dookoła język rosyjski, a na parkingu przeważały samochody z białoruską rejestracją. Ktoś może powiedzieć, że skoro ludzie kupują, to znaczy, że mają pieniądze. Ale przyjeżdżają tylko najbogatsi, a kupują dlatego, że w Polsce jest taniej. Myślę, że mówiąc o Białorusi trzeba mieć na uwadze, że sytuacja jest złożona. Położenie Białorusi powoduje, że jest krajem buforowym zarówno dla Rosji, jak i dla Unii Europejskiej. Wszystkim to odpowiada. Dla Rosji to swoista strefa sanitarna przed granicą z Unią i w interesie Rosji leży podtrzymywanie Białorusi takiej, jaka jest. Naród jest spokojny, przestępczość niewielka i kontrolowana, kultura czy opozycja nikogo specjalnie nie obchodzą, panuje opinia, że drogi są lepsze niż w Polsce – chociaż nie do końca się z tym zgadzam. Ludzie czasami zadają pytania, dlaczego przez 15 lat otrzymywania kredytów z Rosji nie wykorzystano ich, by stworzyć nowoczesny przemysł? Tymczasem wygląda tak, jakby po prostu kredyty były skonsumowane. Tłumaczy się to u nas tym, że Białoruś jest państwem socjalnym, dbającym o prostych ludzi. Ale nie wydaje się, żeby to była przyczyna przejedzenia pieniędzy.

Janusz Korbel: Ale macie tanią benzynę...

– Tak, z mojego punktu widzenia, jako kierowcy jeżdżącego dużo swoim samochodem, to jest świetnie. Oczywiście, niektórzy na tym zarabiają i dlatego jeżdżą „benzowozy” do Polski. Niedawno w Moskwie zdziwiłem się, że tam benzyna kosztuje drożej niż na Białorusi, chociaż ropę dostajemy z Rosji. To pokazuje absurdalność obecnej sytuacji. Obawiam się, że jeśli benzyna u nas podrożeje, może to doprowadzić do społecznego wybuchu nawet wśród spokojnego, białoruskiego społeczeństwa.

Jak ty osobiście odczuwasz kryzys?

– Od czasu skończenia studiów w 1995 roku nigdy nie wiedziałem, co mnie spotka. W styczniu nie wiedziałem, co będzie w lutym. Przez lata przyzwyczaiłem się do takiego życia i czuję się komfortowo. Jestem artystą i ciągle mam koncerty. Nie tylko na Białorusi, ale w różnych krajach. Dopóki będę mógł wyjeżdżać, to kryzys mnie osobiście mocno nie dotknie. Dwa tygodnie temu byłem w Moskwie, półtora tygodnia temu nad Bajkałem, teraz jestem w Polsce. Zagram koncert, sprzedam płyty i mam z czego żyć. Obecnie po raz drugi w ciągu dziesięciu lat jestem w Białorusi objęty zakazem koncertowania. Po raz pierwszy było to w 2004 roku. W kwietniu minie kolejny rok zakazu. Zakaz obejmuje też innych muzyków, a nawet znanych pisarzy rosyjskich czy zachodnich aktorów, za ich wyrazy solidarności z więźniami politycznymi. Jestem więc w dobrym towarzystwie. Nie mogę oficjalnie nigdzie występować, ani reklamować swoich występów, ale daję sobie z tym radę, bo na Białorusi mam publiczność, mam wielu znajomych i spokojnie do tego zakazu podchodzę. Niemniej jednak jestem odsunięty od kontaktu ze zwykłą publicznością, która przychodzi do sal koncertowych, a nie na koncerty „podziemne”. Ja na koncertach nie tylko śpiewam, ale i mówię ze sceny w języku białoruskim. Komuś to się nie podoba. Tymczasem w telewizji ktoś mówi kłamstwa na temat Bykawa czy Skaryny i nikomu to nie przeszkadza. Mimo wszystko nie mogę narzekać, jest u nas wielu ludzi, którzy naprawdę cierpią. Nawet zatrzymywania na 15 dób, bo szedłeś po placu z biało-czerwono-białą flagą (oficjalnie zamyka się najczęściej za przeklinanie, chociaż wulgarni są właśnie milicjanci), to jest naprawdę dużo, nie mówiąc już o brutalności czy więzieniach.

Co robiłeś nad Bajkałem?

– Występowałem w irkuckiej filharmonii. W *Raždžastwo*

Chrystowa, 7 stycznia, śpiewałem kolędy białoruskie. Zaprosili mnie tamtejsi Białorusini. *Irkuckaja Obłast* (Obwód Irkucki) zamieszkany jest przez trzy miliony ludzi, głównie Rosjan, jednak w pobliżu Bajkału mieszkają Białorusini, Litwini, Ukraińcy, Żydzi, Polacy. To bardzo piękny i bogaty kraj. Trochę podobny do Norwegii, ale dla mnie piękniejszy, a jezioro Bajkał, z którego piłem wodę, to prawdziwy cud natury. Po reformie Stołypina przed stu laty do tej części obwodu irkuckiego przesiedlono około 140 wsi z Rosji, Ukrainy i Białorusi. Zdecydowana większość to wioski białoruskie. Do tej pory ludzie rozmawiają tam na wioskach w czystym języku białoruskim. Spotkałem osoby mówiące po białorusku, których nauczyli języka rodzice i dziadkowie. Zamówiłem u nich tradycyjną białoruską koszulę, ręcznie wyszywaną, z płótna robionego nadal na krosnach przez wyjątkowej urody dziewczyny, Białorusinki.

Jakie masz najbliższe plany artystyczne?

– Czekam na pieniądze na dokończenie projektu muzycznego do wierszy Rafała Wojaczka. W 70 proc. piosenki są nagrane w wersji polskiej i białoruskiej, w tłumaczeniu Andreja Hadanowicza. Na płycie białoruskiej kilka piosenek będzie także po polsku. Mam też pomysł projektu muzycznego do liryki więziennej. Mówiliśmy o kryzysie, ale kryzys jest nie tylko na ulicy i nie tylko dotyczy pieniędzy. Kryzys jest także w głowach. Sytuacja na Białorusi jest ciężka nie tylko z powodów finansowych i nie przede wszystkim. Wydaje się, że gdyby nawet nastąpiła w Białorusi zmiana polityczna, to i tak trzeba by bardzo wielu lat, żeby zmienić mentalność ludzi. Trzeba dużo jeździć i mieć perspektywę, by zacząć to zauważać. Tymczasem jest u nas dużo młodych, utalentowanych ludzi, tzw. pokolenie „Ł” – urodzonych już w czasach Łukaszenki, którzy wyrośli w naszej rzeczywistości i chociaż dawniej nie wierzyłem, że to jest możliwe, to teraz wiem, że ci ludzie wierzą, że nasza opozycja i artyści dostają pieniądze od zagranicznych wrogów Białorusi, krążą plotki, że na przykład ja co miesiąc z jednej z ambasad w Mińsku dostaję 1500 euro! Ale wiesz, o czym mówię, bo wy, ekolodzy, też w Polsce bywacie tak obmawiani. To jest jeszcze taki postsowiecki sposób myślenia. Płyta więzienna będzie więc przedsięwzięciem artystycznym nie nastawionym na sukces. Nikt nie lubi smutnych piosenek. Niedawno śpiewałem w undergroundowym klubie w Moskwie repertuar białoruski i publiczność chciała też czegoś weselszego, czegoś, co jest lekarstwem na troski, których u nich też przecież jest dużo. Jest takie powiedzenie „Moskwa łzom nie wierzy”. Pojawił się też pomysł wspólnego koncertu na Zachodzie wszystkich tych zakazanych w Białorusi artystów. Chciałbym zaśpiewać „Ja naradziũsia tut” w Central Parku w Nowym Jorku z Brucem Springsteenem.

Dziękuję za rozmowę i życzę, by koncert dla Białorusi tych wszystkich artystów mógł się niedługo odbyć także w Mińsku.

Rozmawiał
Janusz Korbel

Międzymiastowa Bielsk-Kobryń. O pokonywaniu granic

Chociaż do rozpoczęcia IX Międzynarodowego Festiwalu Podlasko-Poleskiego „Tam po majowuj rosi” zostały jeszcze trzy miesiące, znamy już zarys planowanych przedsięwzięć. Od maja do końca lipca Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach ugości prawie stu wykonawców z kraju i zagranicy. Prezentujemy reportaż z grudniowej wyprawy organizatorów na białoruskie Polesie, skąd tradycyjnie przyjedzie największa liczba wykonawców.

Co łączy Białorusinów, Irakijczyków i Etiopczyków?

Po raz pierwszy, przebywając na terytorium Republiki Białoruś, miałem problem z aklimatyzacją. Przyznaję, różnie bywało do tej pory podczas etnograficznych ekspedycji. Destylowane specyfiki wydobywane z poleskich czeluści, sowiecki model urbanizacji, czy w końcu inne obyczaje w domu. Tym razem poszło o zegarek. Gdy tu w Polsce jesienią przesuwaliśmy jego wskazówki na wcześniejszą godzinę, mieszkańcy Mińska – inspirując się sytuacją na scenie politycznej – obudzili się bez zmian. W całym pasie od Helsinek po Kijów i Ankarę wyjątek stanowi stolica Białorusi, obywatele której pracują, uczą się i odpoczywają w tych samych godzinach co mieszkańcy Iraku, Etiopii czy Madagaskaru. Niezwykłość tej sytuacji można odczuć najlepiej w połowie grudnia, gdy białoruski brzask zamienia w świt rankiem około godziny 9.00. Łukaszenko pragnie samodzielnej polityki, może dlatego wybierając kierunek między Unią Europejską a Federacją Rosyjską, postawił na Czarny Ląd.



Poleska gościnność Fot. Tomasz Sulima

Na świętego Mikołaja w Kobryniu

Nabożeństwo w drewnianej cerkiewce św. Mikołaja w Kobryniu (obwód brzeski), wybudowanej w 1839 roku, rozpoczęło się, gdy rozgrzane do czerwoności słońce w całości wyłoniło się zza horyzontu. Jak przystało na główne święto parafii, nieduża świątynia była nabita wiernymi po próg. Demograficznie, podobnie jak w podlaskich parafiach, dominują starsze kobiety. U wyjścia z cerkwi dostrzegam kopię Obrazu Jasnogórskiego, opisanego po polsku. Pamiątka koronacji wizerunku przez Piusa X w 1910 r. No tak, przecież i Częstochowa, i Kobryń leżały wówczas w tym samym państwie – historia dość niedaleka.

Wystarczyło przeszło 70 lat obecnej granicy, by większość naszych poleskich rozmówców, dowiedziawszy się skąd do nich przyjechaliśmy, myliła Bielsk Podlaski z Białą Podlaską, chętnie przez nich odwiedzaną w celach konsumenckich. Jesteśmy postrzegani jako etniczni Polacy i katolicy. Przekonanie do właściwego postrzegania bliskiej zagranicy bywa czasem trudne. Tak więc pytany o to skąd jestem, lubię odpowiadać „ze Studziwód”, czyli z niedalekiej – choć pewnie nieznanej im – wioski. W dniu św. Mikołaja przedstawiłem się jako wierny z sąsiedniej diecezji – warszawsko-bielskiej. Po chwili konsternacji rozmówcy zaczynali rozumieć, że polskie paszporty, wystające z naszych kieszeni, mogą oznaczać coś innego, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Podlasie jak Puszcza Białowieska

Chociaż podlaski Bielsk i poleski Kobryń to rówieśnicy, ich losy – jak przystało na miasta pogranicza – zostały podzielone cywilizacyjnie. Istnienie Bielska dokumenty potwierdzają w roku 1253, Kobrynia w 1287. Oba miasta stanowiły północno-zachodnie rubieża Rusi Kijowskiej, później Księstwa Halicko-Wołyńskiego, od I poł. XIV w. wyznaczały zachodnią granicę Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był to okres najlepszego rozwoju obu miast, którego uwieńczeniem było funkcjonowanie w ramach wspólnego udzielnego księstwa. Fundatorami bielskich parafii Narodzenia NMP oraz arch. Michała w drugiej połowie XV w. była *kniahini* z rodu Giedyminowiczów, Wassa Holszańska (swego czasu pragnął ją poślubić sam Jagiełło, ale ostatecznie wybrał młodszą siostrę Sofię) oraz Michał Semenowicz, „kniaź kobryński, bielski i horodeński”. Równolegle fundowano cerkwie i monastery. Nić historii ściśle wiąże ze sobą oba miasta.

Utworzone na początku XVI w. województwo podlaskie, jednoczące obie ziemie, rzadko bywa spotykane na mapach. Krótko przed unią lubelską w 1569 roku podzielono – jak się okazało na zawsze – Podlasze na część zachodnią (z Drohiczynem, Bielskiem i Mielnikiem) oraz wschodnią (Brześć, Kamieniec, Kobryń). Co ciekawe, podział polityczny do dzisiaj nie pokrywa się z kulturowo-językowym. Etnograficzne Polesie w architekturze, ubiorze i obrzędowości nie zaczyna się wcale od Brześcia, ale właściwie dopiero na zachód i południe od… Kobrynia. Przekonaliśmy się o tym dość dobrze podczas sierpniowej ekspedycji muzeum, podczas której spenetrowaliśmy cały rejon Kobrynia.

Dalsze dzieje były mniej łaskawe dla Bielska. Po inkorporacji do Polski, historycznie ruskie miasto stało się celem mazowieckiej kolonizacji. Podczas gdy ten ustępował miejsca dla Białegostoku, Kobryń wkrótce zyskał na statusie stolicy ujezdu i położeniu na kolejowym przecięciu traktów Warszawa-Moskwa-Kijów. Przeżywszy obie wojny, dzisiaj jest prawie dwukrotnie większy od naszego Bielska. Podobnie jak białoruska część Puszczy Białowieskiej, przedzielonej granicą. Takie jest też Podlasze.

Bądź gościem, czyli dyplomatą

Dobrze wychowany gość będzie zawsze postępował według zwyczaju gospodarza. Toteż każdy nasz wyjazd podporządkowany jest białoru-

skiemu modelowi zarządzania kulturą. Ów model sprawdzał się za poprzedniego ustroju w Polsce, wobec tego nie był nam zupełnie obcy. Konstrukcja ma u swych podstaw sielsowieckie (gminne) kluby, podporządkowane rejonowemu wydziałowi kultury, a ten władzom obwodu, a dalej samemu ministerstwu. Zarządzanie tym mechanizmem dokonywane jest na sposób polityczny. W tej piramidzie każdy od kogoś zależy, próbując się przypodobać, na jej szczycie jest prezydent, który zależy od samego Boga bądź też nie. Konstrukcja ta ma za zadanie szczelnie wypełniać wszelką tkankę społeczną.

Dlatego tylko głupiec bądź ignorant uda się na Białoruś w celach ekspedycyjnych, abstrahując od istnienia konstrukcji władzy. Bywają sytuacje, nie zawsze kończące się dobrze. Podróżnicy z Polski za obecnej kadencji prezydenta Białorusi otrzymują łatkę szpiegów i z nią na rękawie eksplorują interesującą ich prowincję kraju. Serdeczności i białoruska gościna może się rychło zakończyć, gdy następnego dnia babcia z dziadkiem są przesłuchiwani przez lokalną milicję na okoliczność udzielania informacji obywatelom obcego państwa.

Eksplorować należy zatem politycznie, czyli dyplomatycznie. Zacząć od naczelnika rejonowego wydziału kultury i z podarowanym przezeń „ogonkiem" ruszyć w teren. Dzięki takiemu odźwiernemu nie tylko otwierają się przed nami wszystkie drzwi, bo otrzymujemy namiary wszystkich tych, z którymi warto się spotkać (nawet jeśli takie są wytyczne). Na miejscu czekają nas suto zastawione stoły… Ale nie zawsze takiego rodzaju dyplomacja się udaje. Trudniej współpracuje się organizacjom pozarządowym, które w Białorusi, jako niezależne od władz, są pod stałą obserwacją.

Zapach Ukrainy

W Kobryniu jeszcze za caratu działalność rozpoczął ruch ukraiński („Proswita"), powstały ukraińskie organizacje kulturalne, w szkołach uczono języka ukraińskiego. Inicjatywa jednak nie miała szerokiego rezonansu, zresztą podobnie jak próby stworzenia idei poleskości na tamtym terenie. Gdyby narodowe nasiona potrzebowały odpowiedniego gruntu, mogłyby go znaleźć w miejscowości Lelikowo (na południe od Kobrynia), leżącej przy samej granicy z Ukrainą. Nazwa wywodzi się od skądinąd bliskiej Białorusinom nazwy ptaka. „Łełeka" to po ukraińsku bocian. Mieszkańcy mówią w dialekcie występującym jedynie w kilku wsiach Polesia białoruskiego i ukraińskiego. Tak oto prezentuje się fragment pieśni weselnej:

Ек ясный місяц до зыркэ.
Тай пітаяцца сваі матюнкэ:
„Шчо мні там говорэтэ?"
„Ны говорэ, сэнку, нычого,
Бо есть у таба сванойкэ
для того.
Шчо вмітымуть,
тоя казатымуть
За таба молодого".

Podczas festiwalu będzie można bliżej poznać ten niezwykły język podczas autorskiego spotkania z małżeństwem Szepetiuków z Lelikowa. Historycznie wieś należała do guberni wołyńskiej i to na południu leżało centrum dla tych peryferii. Poleszucy z zachodniego Polesia, ich język oraz kultura nie miała szansy na rozwój w Związku Radzieckim. System preferował rozwiązania odgórne, a powstanie poleskiej nacji niosło za sobą widmo niechcianej rewolucji. Przez lata rusyfikowani mieszkańcy Lelikowa wstydzili się języka otrzymanego w spadku od przodków. Wielu wyjechało, szukając kawałka chleba, skrywając gwarę swej wsi. Ten stan się powoli zmienia. Na obczyźnie coraz częściej Poleszucy szukają ze sobą kontaktu. Jednemu z nich się udało – dorobił się fortuny na Syberii. Odnowił cerkiew w Lelikowie, wybudował tam kort tenisowy, postawił ośrodek wypoczynkowy. Wspiera język i kulturę rodzinnej wsi. Kto wie, może wyda słownik tej gwary? Dialekt tej wsi zasługuje na zachowanie przede wszystkim dlatego, iż pokazuje język poleski jako pełnowartościowy, posiadający swoje warianty. Z całą pewnością mowa obejmująca tak rozległe terytorium nie może być częścią języka ukraińskiego jak by tego chcieli niektórzy językoznawcy.

Obcy u swoich

Odległość między Bielskiem a Brześciem wynosi symboliczne sto kilometrów. Mniej więcej tyle, ile będzie do Międzyrzeca Podlaskiego czy Sokołowa Podlaskiego, które dawniej leżały na dalekich rubieżach Podlasza. Pokonywanie tych odległości jest jak pokonywanie granic. Dzisiejszych i dawnych. Granice zawsze pozostaną, ścierając jedną tworzymy następną. Są to granice relacji „swój-obcy", które wypływają z potrzeb ontologicznego bezpieczeństwa każdego z nas. Granice są jednak statyczne. Podróżując, przekraczając je, wątpimy nie tylko w fakt ich istnienia, ale przesuwamy również granice w nas samych.

A więc, w drogę! Odwagi.

Tomasz Sulima

IX Międzynarodowy Festiwal Podlasko-Poleski „Tam po majowuj rosi" rozpocznie się na wiosnę 2012 r. historyczno-społecznym seminarium na temat związków Ziemi Bielskiej oraz Kobryńskiej oraz obrzędami związanymi ze św. Jerzym. Festiwal swoją kontynuację znajdzie podczas święta „Troicy" (obrzęd wodzenia kusta). Finałem wydarzenia będą zażynki oraz dożynki związane z letnią edycją festiwalu, znaną pod nazwą „Oleń po boru chodit".

Podwójny bal sylwestrowy

Tamara Bołdak-Janowska

Tęsknię za byciem u siebie. Moja tęsknota zamienia się w nie wiadomo co: staje się podobna do agonii. Moja tęsknota jest agonią.

Przywołuję się do porządku: przecież białoruskość jeszcze żyje, ktoś po białorusku mówi, ktoś po białorusku śpiewa, ktoś gra melodie białoruskie, ktoś włada językiem polskim i białoruskim i posiada miejsce, gdzie może przechodzić z jednego języka do drugiego i cieszyć się kulturową podwójnością.

Tak, ale z mojej podwójnej tożsamości codziennie ubywa po trochu połowa życiorysu. Moje dni to dni w cudzej chacie. Cudza chata rzadko kiedy jest mi przychylna. W cudzej chacie są takie dni, w których ta nieprzychylność rozrasta się w potwora. Jaki to straszny potwór, nie muszę tu tłumaczyć, jest obecny w Internecie. Kto chce, ten widzi.

Prawie nie mam rozmówców w cudzej chacie. Język polski, którym posługuję się na co dzień, tylko w niektórych kątach służy do rozmowy. Reszta to gładki bełkot. Porozmawiać o życiu czy w sposób merytoryczny o literaturze mogę tylko na Podlasiu. Tutaj rozmowa pozostaje istotna. Jeszcze.

Moja tęsknota za byciem u siebie spowodowała, że byłam na dwóch Sylwestrach. Byliśmy z mężem. Najpierw w Olsztynie na Placu Dunikowskiego pod tzw. szubienicami. Sfilmowano nas i można obejrzeć na Youtube, jak skaczemy pod łomotliwą muzykę. Muzykę bez regionalnego wyrazu.

Jakże pragnęłam, żeby zagrała nam jakaś kapela ukraińska, a tu popkulturowy łomot. Trzeba podskakiwać. Nie ma walca, nie ma tanga. Jeden rytm. Skok. Skok.

Część młodych ludzi nie umie tańczyć. Podskakują. Jakby tłuc kartofle w wąskim saganie. Tuk. Tuk.

Mimo łomotu, bawiliśmy się.

Publika stała. Tańczyli nieliczni.

Nieliczni młodzi tańczyli w parach, bez tego podskakiwania w miejscu.

Miejscami było więcej umundurowanych ochraniarzy niż gości tańczących i stojących.

Bal ten trwał krótko – skończył się zaraz po północy. To w ramach miejskich oszczędności w finansowym kryzysie. Toteż nadal myślałam o tym, aby gdzieś pójść na Sylwestra, a mam w zapasie juliańskiego. To takie moje bogactwo – juliański zapas świąt. Cudowne jest poczucie w epoce ujednolicania, że ma się kulturowy zapas, że się doświadcza więcej. Zapas taki nigdy nie ciąży. O tym zapasie ciągle chcę opowiadać i robię to.

Po fajerwerach ptaki zaczęły padać z nieba. Wyczytałam to w Internecie. Padały martwymi stadami kosy. Padały albo nie padały. Wiadomości są poprawiane na drugie i trzecie, w których nie ma pierwszej lub zostaje z niej pół zdania.

Pokazy ogni interesują mnie najmniej. Interesuje mnie świąteczny uroczysty klimat i muzyka regionalna.

Namówiłam męża na „prawosławnego Sylwestra" w Waliłach, w sali Pronaru. Wyjechaliśmy w piękny, niemal wiosenny, dzień. Plusowa temperatura, sucho, trochę słońca. Zdążyliśmy wyjechać poza Szczytno, a wjechaliśmy w nagły środek zimy, w gradobicie, w śnieżycę. Na drodze błyskawicznie tworzyła się szklanka. Zaczęłam się niepokoić, czy w ogóle zdążymy na czas. A mieliśmy wpaść do mojej starszej córki, do Białegostoku. Nic z tego. Oby dojechać.

W połowie drogi dzwonię do córki i mówię, że nie wpadniemy, bo śnieżyca i szklanka. Córa, zdziwiona, oznajmia, że w Białymstoku jest sucho i plusowo. Potem dowcipny zięć zażartuje, że my ciągle coś przywozimy do Białegostoku. W zeszłym roku przywieźliśmy straszną burzę, która trwała całą dobę, a teraz nagłą zimę ze szklanką.

Patrzę, jak powstaje zima. Najpierw prószy piórami aniołów, po czym kładzie się na ziemi. Kładła się i kładła. Biało, ciemno, szklanka. Niebo jak lita skała. Bliżej jakiejś miejscowości świeci na żółto w głębokich ponurych brązach. Dojedziemy czy nie?

Wleczemy się 40 km/godz., 20 km/godz., a od czasu do czasu 60 km/godz.

W końcu już prawie dojechaliśmy, a tu klops.

Pięć kilometrów przed Waliłami utworzyła się taka szklanka pod górkę, że dalsza jazda stała się niemożliwa. Drogę zatarasowały tiry, w poprzek, na ukos. Koniec. Tiry łbem w łeb. W tę stronę, w tamtą. Stoją. Stać będą jeszcze długo. W ogóle nie wiadomo, jak długo.

Dzwonię do p. Chmielewskiego, że stoimy tuż przed Waliłami i nie wiemy, co robić. Dowiaduję się, że trzeba zawracać i jechać przez zaułki. Jakie „zaułki"? Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to nie „zaułki", tylko Załuki.

Podróż zmęczyła mnie bardzo. Ale nawet nie o to chodzi. Nagle czuję się tak, jakbym znalazła się za granicą. Nie kojarzę nazw miejscowości. To dlatego, że w Olsztynie ich nie słyszę. Nie pojawiają się w codziennych rozmowach. Od czasu do czasu ja coś wspomnę o Narejkach i ta nazwa jest już w obiegu.



Fot. Michał Szyszkiewicz

Autorka z mężem Antonim na balu w domu kultury w Gródku

Z trudem zawracamy i ślizgając się dojeżdżamy do drogowskazu na Załuki.

Już tańczymy.

Parkietem dla samochodu jest szklanka.

Tańcząc, jedziemy, jedziemy w czarną noc do Załuk. Potem jedziemy, jedziemy do Walił, mijając po drodze dwie wioski o nazwie Waliły. Na szczęście spotykamy auta, i nawet jakichś ludzi, i możemy spytać, czy dobrze jedziemy, a chcemy do Stacji Waliły.

Na balu w sali Pronaru zjawiliśmy się spóźnieni prawie o dwie godziny.

Nic to. Chwila odpoczynku w pokoju hotelowym i do roboty.

Siedliśmy, jedliśmy, piliśmy i tańczyliśmy.

Nareszcie można było tańczyć różne kawałki, walce, tanga. Nie tak, jak na Placu Dunikowskiego w Olsztynie, że trzeba było podskakiwać nie w parach, najlepiej wąsko, tuk, tuk.

Nareszcie słyszałam białoruskie słowa piosenek.

Nareszcie miałam moje urozmaicone tańce.

Nie nadawałam się jednak do rozmów. Podróż po szklance, pod śnieżycę i narastające ciemności w biały dzień, rozkojarzyła mnie.

Mąż stwierdził: taka muzyka może być tylko tu.

Niezupełnie znalazłam się u siebie przez to całe rozkojarzenie. Jechaliśmy pijanym samochodem. Byłam spóźniona i nieprzygotowana do balu w Pronarze. Nie wzięłam pod uwagę, że to bal charytatywny, że zbierano pieniądze na szkołę, że będą licytacje. Mogłam przywieźć piękne martwe natury mojej młodszej nieżyjącej córki, mogłam je zlicytować. Niechby córka żyła u kogoś poprzez swoje dzieło. Jej obrazy oprawiliśmy w piękne ramy. Mogłam wziąć do licytacji moją biżuterię, której mam nadmiar.

Mogłam. Tak myślę poniewczasie.

Nic do mnie nie docierało. Nawet nie zapamiętałam, jaka orkiestra przygrywała do tańca.

Najpiękniejszym momentem tego juliańskiego „Sylwestra” była wizyta w innym miejscu, w Gminnym Centrum Kultury w Gródku, gdzie też odbywał się bal, a grała kapela Chutar Haradok, ta z naszych zjazdów. Było intymniej, tu byłam w pełni u siebie. Trwało to tak krótko. Tu mogłam rozmawiać „pa prostu”. Pożartować.

Mężczyźni pytali mnie, czy mój mąż to mąż, czy kochanek. Mąż oczywiście – odpowiadałam. Stwierdzili: to dziś rzadkość.

No tak. Dotrwać razem do siwych włosów. To rzeczywiście dziś rzadkość. Trudne?

Trudne.

W Gminnym Centrum Kultury jednakowo radośnie bawili się tej nocy starzy i młodzi. Tworzyliśmy tańczące kółka.

W Pronarze było bardziej oficjalnie. Pary były przez cały czas przyklejone do siebie. Tańczące kółka tworzyły się, ale na krótko i znowu pary przylepiały się do siebie. Nikogo znajomego prócz państwa Chmielewskich.

Wracaliśmy do Olsztyna przez białe drogi. Znowu tańcząc.

Wiozłam jednak coś swojego: książkę Stefana Kopy „Pieśni chrzcinne wschodniej Białostocczyzny”, przekazaną mi przez p. Chmielewskiego. Jak gdyby adekwatnie do sytuacji na drogach, z nagła białych, szklankowych, książka ta otworzyła mi się w samochodzie na stronie z następującym wierszykiem:

Hawaryła baba dziedu,
Szto w Ameryku pajedu.
Oj, /Ty/, staraja kaczerha –
Tam nie chodziać pajezda.

Космас Аліка Казберука

Сярод надзейных пісьменніцкіх талентаў Беласточчыны калісьці Сакрат Яновіч пералічваў між іншым Эдварда Ярашэвіча бадай з Шудзялава і Аляксея Казберука з Юшкавага Груда. Спрабавала я іх знайсці, праз дзесяцігоддзі – ці пайшлі яны літаратурным шляхам. Сучасная тэхніка памагла: у Інтэрнэце даведалася я, што Казбярук выдаў прынамсі пяць кніжак – на польскай мове – Dzięcioły (1965), „Ognie na śniegu” (1965), „Arka bezludna” (1968), „Daltonia” (1968), „Daltonia” (1973), „Harakiria” (1977) – іх і яшчэ можна набыць у інтэрнэт-кнігарнях. Друкваўся ён між інным у „Камэне” і на старонках іншых прэстыжных літаратурных часопісаў. А звычайны тэлефон памог нам спаткацца. Аляксей Казбярук проста пазваніў мне ў рэдакцыю ў справе... космасу.

Лістапад 1952 года. Аляксей Казбярук, семнаццацігадовы вучань дзевятага класа ў міхалоўскім ліцэі высылае з Юшкавага Груда адказ на анкету ў тыднёвіку „Nowa Wieś” „Як уяўляю сабе маё жыццё і жыццё маёй вёскі праз пяць гадоў”. Алік кахае Тамару, ходзіць у школу і плануе стаць кімсьці... Марыць: вывучыцца, будзе будаваць апараты для міжпланетных падарожжаў... Марыць лятаць. Але сам ён

дробны, нясcкладны, са слабымі вачыма. Такі Ікар з невялічкай беларускай вёскі, што ледзь адхайкалася пасля нядаўняй вайны.

„Пасля заканчэння школы прагну быць авіяканструктарам, каб будаваць апараты для міжпланетных палётаў. Буду старацца, каб у адкрыцці іншай планеты або нейкай з'явы ў сусвеце быў і мой уклад. Я, сын сярэднезямельнага селяніна з Беласточчыны, даўняй Польшчы Б, цяпер смела магу глядзець у будучыню, паколькі маю будучыню гарантуе мне Канстытуцыя Польскай Народнай Рэспублікі.

Магу таксама смела думаць пра будучыню маёй вёскі – Юшкавага Груда. У нас ёсць яшчэ індывідуальныя гаспадаркі. Праз пяць гадоў будзе тут калгас. Цяпер тут хаты. Праз пяць гадоў кожны будзе жыць у прыгожым доме з агародам, у якім будуць расці прыгожыя кветкі і гародніна. Калгаснікі пабудуюць супольныя аборы для пародзістай жывёлы, шпіхеры для збожжа ды паставяць памяшчэнні для машын, паколькі працу чалавечых рук заменяць складаныя машыны, прыводжаныя ў рух чалавекам. Здзейсняцца мары нашых патрыётаў".

Праз пару гадоў зямляне пачалі асвойваць космас, не справіўшыся са сваімі асноўнымі турботамі, якія і да гэтай пары, праз больш чым паўстагоддзя, ні на каліва не сталі менш складанымі. А Алік Казбярук, які ўсё ж не сканструяваў ніякай прылады для палётаў у неба, увесь час сачыў за заваёвай космасу чалавекам. Чуў, як паляцелі касманаўткі сучкі Лайка, Стрэлка ды Белка, даведаўся, як згарэў у касмічнай прасторы сын Канстанціна Цыялкоўскага, які паляцеў у космас да Юрыя Гагарына, сачыў за ўсімі палётамі і вяртаннямі зямлян з усё неразгаданага неба. Сам на яго не ўзнёсся і не збудаваў ніякай прылады для асвойвання касмічных прастораў. Але не забыўся пра свае мары. Пасляў нядаўна свой стары, па-прароцку казачны ліст у Байканур... І пра Юшкаў Груд усё распытвае сваіх землякоў, не такі далёкі да ягонага цяпершняга, зноў вясковага жытла пад Пішам.

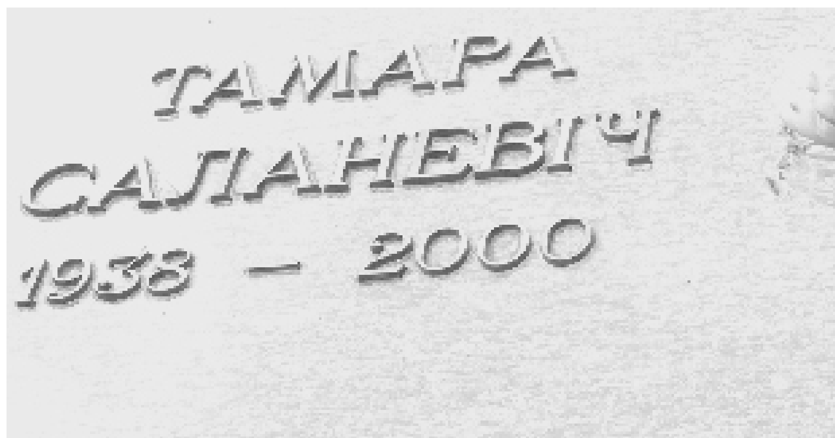
– Калі я нарадзіўся?.. Дакладна 29 ліпеня 1935 году. Тата толькі запісаў іншую дату, каб я раней у школу пайшоў. Але дакладная дата будзе вырыта ў будучым годзе... на маім надмагільным помніку! – сур'ёзна кажа цяпепр ужо пенсіянер, жыхар вёскі Лупкі ў Вармінска-Музурскім ваяводстве. Вядомы ў Польшчы народны доктар лекавання травамі, спецыяліст па водных цёках і геамантыі. Авіятарскай справай не заняўся, хоць у форму быў трапіў. І удакладняе: – Калі атрымаю загад станавіцца на апошні суд, загадваю спаліць мяне і... рассыпаць па траве і вадзе... Калі б жыла Тамара, было б ёй, пэўна, сумна.

Нарадзіўся ён у Юшкавым Грудзе, як адзін з пяцерых дзяцей. Усе яны, апрача аднаго брата, здабылі вышэйшую адукацыю. Адна сястра з'яўляецца лекарам. І сам ён вынайшоў лякарства, якое, кажуць, лечыць самыя розныя хваробы, ад страўніка да лёгкіх. Доктар філасофіі з Лодзі, якая ішла ўжо на другую аперацыю, прымала ягоную панацэю, і непатрэбным стала хірургічнае ўмяшанне. Лакарства змяшчае 160 складнікаў, ёсць там між іншым амрыканская чарніца ды журавіна. Зацікаўлены вырабам гэтай панацэі люблінскі „Гербаполь". Вынаходніку не залежыць на грашах, а на тым, каб ягонае вынаходства прыдалося ў вяртанні людзей да здароўя.

– Калі б Тамара жыла... Я ўпэўнены, што яе ўратаваў бы, вылечыў бы яе лёгкія...

Распрацоўвае Аляксей Казбярук карту месцаў у краіне, дзе адбываецца найбольш дарожных аварый. Трымае прытым кантакт з іншымі навукоўцамі неканвенцыянальных навук, таксама і замежнымі, абменьваецца вопытам.

– Некаторыя лічаць, што гэта проста выпадковасць, што ў некаторых месцах здараюцца дарожныя аварылі. Але ёсць месцы, дзе здараецца гэта ў дзесяткі, сотні разоў, і з вопытнымі, цвярозымі шафёрамі. Гэтак было і з прафесрам Браніславам Герэмкам. Гэта ясна акрэслена, дзе тыя цёкі выступаюць, і які гэта мае ўплыў на сітуацыю якая адбываецца. Веды можна было б рас-





Аляксей Казбярук

паўсюдзіць сярод людзей, паставіць асцерагальныя знакі.

Сустракаюцца з Аляксеем Казберуком у ягонай вёсцы даследчыкі гэтых з’яў „таемных” таму, што нябачных голым вокам. Можа здацца гэта дзіўным, што ён, чалавек з матэматычным розумам, адстаўны палкоўнік, займаецца нейкім „чарадзействам” і знахаствам. Дарэчы, на „знахара” ён і змахвае: у атачэнні плоймы коцікаў, сабак і птушак, сярод буйнай расліннасці гэты хударлявы дзядзька сапраўды як не з гэтага свету. Устае ён ужо ў дзве гадзіны ночы, займаецца сваёй гаспадаркай, назіраннем за светам. За сваё жыццё быў афіцэрам, выкладчыкам у паліцыйнай вышэйшай школе, членам саюза польскіх пісьменнікаў. Меў ружжо, быў паляўнічым. Цяпер цэніць каштоўнасць кожнага жыцця, нават найменшай казявачкі. Ад мікракосмасу – да макра. Цяпер ён адзін. Хоць жыве не адзін.

– Усё трэба накарміць, выпусціць сабак у вальеру... І так памаленьку жывецца.

Над ягоным ложкам вісіць здымак Тамары Саланевіч яшчэ з ліцэйскага міхалоўскага часу.

– Устаю раніцай, гляджу на яе. І з малітвай кладуся спаць, і ўсё стаіць яна ў маіх вачах, – у голасе Аляксея дрыжаць слёзы. – Гэта было сапраўднае каханне. Разумеліся мы без слоў. А нават не пацалаваліся за ўсё жыццё.

Нядаўна пазваніў мне, распытваў пра... Дзеда Мароза.

– Мне патрэбны такі, вялікі, нават з паўметра і больш. Такі беларускі, сапраўдны. Не ніякі там „святы Мікалай”. Пастаўлю яго перад сабой, на стале...

– А нашто ён вам?

– Ой, гуляюць ім буду! – спадар Алік смяецца ў трубку сваім маладым смяшком. – І ўздыхае, успомніўшы: – 18 ліпеня дванаццаць гадоў міне, як ужо Тамары няма...

Міра Лукша

Jestem samotnikiem

Rozmowa z Beatą Siwek, adiunktem w Instytucie Filologii Słowiańskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, autorką książki *Wolność ukrzyżowana. Rzecz o białoruskim dramacie i teatrze*

Pani książka jest zadziwiająca, i to z kilku powodów. Po pierwsze, problematyka białoruska jest w Polsce podejmowana rzadko, a chyba nigdy dotąd na taką skalę. Przeciętny Polak nie potrafi wymienić nazwiska nie tylko żadnego białoruskiego dramaturga, ale w ogóle jakiegokolwiek pisarza z *kraju Łukaszenki*. Po drugie, polscy autorzy, którzy mogliby pisać o białoruskiej literaturze, którzy ją znają i badają, pracę nad tak obszerną jak Pani monografią uważają za zbyt wielkie ryzyko. Obawiają się bowiem, że nigdy nie znaleźliby wydawcy. Jak publikacja Pani książki stała się możliwa?

– Prace nad książką trwały wiele lat. Już wstępny etap prac badawczych pokazał, że staję oto twarzą w twarz z niezwykle obszernym materiałem źródłowym, który będzie wymagał zastosowania nie tylko tradycyjnych, ale i nowoczesnych metod badawczych, znajomości różnorodnych kontekstów literackich, kulturowych i historycznych. Nie planowałam pisania rozległej, kilkusetstronicowej monografii. Skupiona byłam raczej na tym, żeby w możliwie największym stopniu ukazać białoruską dramaturgię w jej różnorodności, bogactwie formalnym i treściowym. Publikacja książki była w całości sfinansowana przez rektora mojej macierzystej uczelni – Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II – ks. prof. Stanisława Wilka.

Znamienne, że monografię *Wolność ukrzyżowana* napisał wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Czy na KUL-u prowadzone są na szerszą skalę niezależne badania białorutenistyczne?

– Niestety, nie. Wynika to w głównej mierze z samej struktury slawistyki kulowskiej, w której zasadniczo nie ma miejsca dla specjalistów-białorutenistów. Od 1989 roku, a zatem od samego początku istnienia filologii słowiańskiej, w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim prowadzono nabór do grup białoruskich, które były dość liczne. Jednakże w 2000 roku, wraz z wyraźnym zmniejszeniem się statusu języka białoruskiego, filologia białoruska została zawieszona i od tego czasu nie przyjmowano już nowych roczników studentów. Jako jedyny białorutenista w Instytucie Filologii Słowiańskiej KUL, formalnie przypisana do Katedry Literatury Rosyjskiej, jestem samotnikiem na swoim polu badawczym.

Czy jako pracownik uniwersytecki miała Pani możliwość podjęcia współpracy z literaturoznawcami z białoruskich uczelni?

– Oczywiście, jestem w stałym kontakcie z wieloma literaturoznawcami białoruskimi, aczkolwiek nie korzystałam dotychczas z możliwości prowadzenia wspólnych projektów badawczych.

Pisarze często czują się niedoceniani i białoruscy dramatopisarze nie są tu wyjątkiem. Twórczość wielu z nich jest prawie nieznana na samej Białorusi, tym chętniej podejmują więc wszelkie inicjaty-

(Ciąg dalszy na str. 31)

Сведка

Запіс канфрантацыі сведка гісторыі з сучаснай аўдыторыяй. Расповед тычыцца факту спалення беларускай вёскі Залешаны на Беласточчыне 29 студзеня 1946 г. Пацыфікацыю правяла польская падпольная ўзброеная групоўка на чале з Рамуальдам Райсам, пс. „Буры”. Сведкам з’яўляецца Пётр Младзяноўскі (тады яшчэ дзіця), які быў непасрэдным удзельнікам гэтых трагічных падзей. Аўтарскі праект Паўла Грэся з Гарадка.

З раніцы бацька ўстаў, пайшоў упраўляцца, падаваць каравам. Потым прыходзіць у хату і кажа: „Нешта не ў парадку, нейкае войска ў вёсцы”. Выйшаў на двор і глядзіць – стаіць жаўнер з карабінам. „Стой, куды хочаш? Назад!”. Бацька вярнуўся, вёска застаўлена. Уваходзіць у хату, „ой – кажа – бяда дзеткі”. Бачым, ідзе трох.

Адзін застаўся на двары, а двох увайшло ў хату. Просіць адзін вады і мыла каб пабрыцца. Папрасіў хлеба і адрэзаў кусок саланіны, пачаў есці. Потым яшчэ кусок адрэзаў – я сядзеў на печы – і ўзяў той кусок саланіны і кінуў мне на печ. „На, еж” – кажа. Я ўзяў той кусок саланіны і стаў есці седзячы на печы.

Той другі жаўнер быў каля яго, кажа „Пане камандзір…” і нешта пачаў гаварыць, то відавочна цэлы камандзір іхні быў. Калі адыходзілі з хаты, кажуць што „выбірацца ўсе на збор!”. Ужо гадзіна дзесятая была, можа адзінаццатая. Пайшлі мы, поўна хата людзей. Вёска была вялікая. І да адной хаты і старых, і малых – усіх пазганялі.

Уваходзіць жаўнер на сярэдзіну і кліча „Дэмянюк Лука! А не то буду да вас страляць!” Прыйшоў другі раз: „Дэмянюк Пётр!” – гэта сын. І яшчэ вёз з Сухавольцаў кравец камусьці матэрыял. Яго злапалі і з гэтым Дэмянюковым сынам узялі завялі да клуні, пераздзягалі і там пастралялі іх. Бо яшчэ людзі чулі як выстрэлы былі.

Ну і запалілі цэлую вёску, таму што яшчэ калі хадзілі на збор склікаць, то казалі каб пару снапкоў саломы ў хаты прынесці. А людзі



пытаюць: „Нашто?” – „Начаваць будзем”. Глядзяць людзі, вёска гарыць. Усё падпалілі, зайшлі ўсюды.

Я меў шесь гадоў тады і якась выбіўся па людзях, па галовах, акно было адкрытае. Хацеў праз яго выскочыць. А ён сядзеў можа дваццаць метраў, можа дзесяць. Студня была. Як пацягнуў з эркаэма і мне ў шкуру загнаў, па шыі. Крыху па целе пацягнуў. Запякло, „ой, пячэ, пячэ!”.

Мяне людзі зараз за хвост, у хату ўцягнулі. Там кроў ішла, маці ўзяла зараз хустку. Завязала мне на шыі, каб кроў не ішла. Мужыкі як пачалі валіць у гэтыя дзверы, дык і вывалілі іх. Ужо паталок месцамі праваліваўся. Абгараў у гэтай хаце, дзе людзі былі. Тады ўсе людзі ў альшыну, паміж агнём. Некаторыя паапальваліся.

Потым дзесьці адзін вазак збег таму войску. Расказваў, што той цэлы „Буры” выехаў за вёску, там пагорак такі. Стаў глядзець праз бінокль, што людзі збеглі. Хацеў расстраляць таго жаўнера, які сядзеў каля хаты.



Дзень добры. Называюся Пётр Младзяноўскі. Жыву ў Залешанах, гміна Клішчэлі, павет Гайнаўка. Хачу расказаць троху, што памятаю аб трагэдыі ў Залешанах у сорак шостым годзе, дваццаць дзевятага студзеня...



Бог яго знае. За што? Ну, праўдападобна за тое, што праваслаўная вёска была. Адзін попел, усё пагарела. Там увогуле не было да чаго вяртацца. Ніводнай дапамогі, нічога не атрымалі. Атрымалі з Амерыкі, „Ундра” называлі. Амерыка нешта прыслала крыху там адзежы і двух канёў на цэлую вёску. Сварыліся за тых коней, бо і той хоча рабіць, і той хоча рабіць. А за што? Мы не маем прэтэнзій. Ну, што ж да гэтага мець прэтэнзіі? Да аднаго „Бурага”.

„Бурага” сын жыве. Адной сям’і, што згарэла, унук званіў да яго. Запрашаў прыехаць і пабачыць, якія то беларусы, які то народ. Чы сапраўды, як вы думаеце, што от такія кацапы, што з імі не можна жыць? Ну, але ўсё ж такі не прыязджае. А яму помнікі ставяць. Ну якая ж то праўда на свеце ёсць? Людзі. Столькі я хацеў бы расказаць. Дзякую.

Праект ажыццяўляўся ў рамках LABORATORIUM LIVE ў Цэнтры Сучаснага Мастацтва ў Варшаве, 26 сакавіка 2011 года пад кіраўніцтвам праф. Гжэгажа Кавальскага.

Фільмавы запіс праекту можна паглядзець па адрасе http://pawelgrzes.blogspot.com/

(Ciąg dalszy ze str. 26)

wy, pozwalające im zaprezentować się szerszemu gronu: sami wydają swoje utwory, rozpowszechniają je i popularyzują, a potem dzięki prywatnym kontaktom organizują spotkania autorskie, narażając się na krytykę przypadkowych czytelników. Ot, białoruska rzeczywistość. Jakie ma Pani doświadczenia z kontaktów ze środowiskiem białoruskich pisarzy?

– Zdumiewa mnie przede wszystkim determinacja i wytrwałość białoruskich pisarzy (w szczególności tych, którzy są wciąż jeszcze, pomimo tak wielu literackich osiągnięć, mało znani na Białorusi) w dążeniu do realizacji swoich planów artystycznych. Niektórzy z nich muszą czekać wiele lat na to, aby opublikować swoje teksty, inni – jak chociażby Lawon Waszko – nie czekają, lecz biorą sprawy w swoje ręce i drukują w tak zwanym „samwydawie" w ograniczonym nakładzie 299 egzemplarzy. Są też i tacy, którzy zaprzestają działalności literackiej, co w przypadku twórców-dramaturgów daje się zrozumieć. Dramaturdzy tworzą przecież swoje teksty z myślą o tym, że kiedyś zostaną wystawione one na scenie. Nie możemy zatem mówić o dobrej sytuacji dramaturgii białoruskiej, skoro wiele dobrych, wartościowych tekstów nie znalazło dla siebie dotychczas miejsca w repertuarze żadnego teatru białoruskiego.

Co stanowiło największą trudność przy pisaniu książki?

– Muszę przyznać, że największe problemy spotkały mnie na poziomie selekcji zebranego materiału źródłowego. Liczba białoruskich tekstów dramatycznych, które zostały opublikowane po 1991 roku, bardzo mnie zaskoczyła. Trudno było więc zdecydować, w jakim aspekcie badać białoruski dramat i teatr, co podkreślić, a co jedynie zasygnalizować, które zagadnienia wymagają bardziej wnikliwego potraktowania, którym natomiast nadać jedynie ogólny kształt. Biorąc pod uwagę tak interesujący, niemal dziewiczy na polskim gruncie, przedmiot badań, chciałoby się napisać i więcej, i lepiej. Znaczny problem stanowił też niedosyt, a nierzadko całkowity niemal brak informacji na temat wielu współczesnych dramaturgów białoruskich, stosunkowo niewiele gruntownych analiz i interpretacji najnowszych tekstów dramatycznych, które byłyby pomocne w niełatwym procesie dochodzenia do ukrytych sensów i znaczeń wybranych do analizy tekstów. Minęło już kilka miesięcy od zakończenia ostatnich prac redakcyjnych nad moją książką, ale wciąż jeszcze towarzyszy mi uczucie pewnego niezadowolenia, że pewne aspekty potraktowałam wybiórczo, że innym, być może, nie poświęciłam należytej uwagi.

Obok fragmentów teoretyczno-literackich Pani książka zawiera rozdziały poświęcone siedmiu białoruskim dramatopisarzom. Są to: Aleś Pietraszkiewicz, Mikoła Arachouski, Aleś Astaszonak, Alaksiej Dudarau, Siarhiej Kawalou, Ihar Sidaruk, Lawon Waszko. Niezorientowany polski czytelnik pomyśli, że białoruska dramaturgia ma dopiero kilkadziesiąt lat. Gdzie jest Wincenty Dunin-Marcinkiewcz z jego sławną *Sielanką*, gdzie Janka Kupała i Jakub Kołas?

– Zależało mi przede wszystkim na konfrontacji różnych modeli dramatu, na ukazaniu różnorodności estetycznych, stylistycznych i formalnych poszukiwań białoruskich twórców, na ukazaniu indywidualnego charakteru zaprezentowanych tekstów. Zaprezentowani przeze mnie twórcy są różni w swych doświadczeniach artystycznych, inni w swych literackich fascynacjach i realizacjach. Pragnęłam obok twórców dobrze znanych na Białorusi zaprezentować dramaturgów mało znanych, czy też w ogóle pomijanych przez białoruskich literaturoznawców. Obok dramatu tradycyjnego, chciałam zaprezentować dramat awangardowy, o istnieniu którego często się zapomina.



Beata Siwek (ur. 31 maja 1970 roku) doktor, absolwentka filologii białoruskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od 1994 r. pracuje w Instytucie Filologii Słowiańskiej KUL, prowadzi zajęcia z zakresu nauki języka białoruskiego, wiedzy o współczesnej Białorusi, teatrologii i literaturoznawstwa. Autorka książki *Ojczyzna duża i mała: poeci Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża" wobec problematyki ojczyźnianej* (Lublin 2004). Bada współczesną dramaturgię białoruską. Tłumaczyła na język polski dramaty Siarhieja Kawaloua, wiersze Nadziei Artymowicz, Łarysy Hienijusz i Natalii Arsienniewej.

Czy *Korespondencyjny seks* Lawona Waszko może się równać z *Tutejszymi*?

– Nie ryzykowałabym porównywania tak odległych estetycznie i ideowo twórców i tak różnorodnych pod względem formalnym tekstów. Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Jakub Kołas, Janka Kupała zajmują już od dziesiątków lat wyjątkowe miejsce w historii literatury białoruskiej i nikt tego nie zmieni. Jednakże literatura białoruska wciąż się rozwija, pojawiają się w niej nowi, interesujący twórcy, którym wcale nie jest łatwiej realizować się twórczo niż Kupale, czy Kołasowi. Zmienia się także odbiorca literatury białoruskiej, który już, być może, dość ma powracania do zamierzchłych – w jego mniemaniu – epok literackich, do nużących i schematycznych fabuł, przejrzystych

technik, utartych schematów. Dla zainteresowanych pragnę dodać, że w mojej monografii nie zabrakło miejsca dla klasyków literatury białoruskiej. Im właśnie poświęciłam rozdział pierwszy *Od obrzędu do tekstu. Białoruska dramaturgia od źródeł do końca lat 80. XX wieku.*

Znikoma liczba przetłumaczonych na język polski białoruskich dramatów znacznie komplikuje właściwe rozumienie Pani książki. Jak bowiem odczytywać kolejne rozdziały, nie znając materiałów źródłowych, do których się Pani odwołuje. Jak rozumieć cytowane w oryginale fragmenty, jeżeli nie zna się nawet białoruskiego alfabetu?

– Potraktujmy je jako zachętę do nauki języka białoruskiego. Od jednej z pań prowadzących prace redakcyjne na moją książką usłyszałam: „Wie Pani, chyba zacznę uczyć się języka białoruskiego tylko po to, żeby przeczytać sobie dramaty Arachouskiego i Astaszonka". A tak na poważne - myślę, że jest to istotny zarzut, który można postawić tej książce. Trudno jednakże pisać o literaturze nie ilustrując rozważań teoretycznych fragmentami z tekstów źródłowych. Przekładów współczesnych dramatów białoruskich, jak Pani wspomniała, jest niewiele, a dokonanie takich przekładów specjalnie na potrzeby mojej książki też nie okazało się proste w realizacji.

Jak Pani wierzyć, nie wiedząc ile w książce jest zachwytu i fascynacji białoruską dramaturgią, a ile prawdy i faktów?

– O tym będziemy mogli przekonać się już niebawem. Podjęte zostały przeze mnie pierwsze prace nad przygotowaniem antologii współczesnego dramatu białoruskiego w przekładzie na język polski. Dokonałam już wyboru tekstów dramatycznych, które zostaną w niej zamieszczone, znalazłam też wydawcę, który w całości sfinansuje ów projekt.

Gratuluję! Wygląda na to, że na przekór sceptykom białoruska literatura ma swojego odbiorcę także w Polsce. A czy analiza wybranych przez Panią dramatów pozwala wysnuć ogólne refleksje o kondycji współczesnego dramatu białoruskiego? Z nielicznych opracowań na ten temat wyłania się sprzeczny obraz. Z jednej strony mówi się o tym, że białoruska dramaturgia jest archaiczna, przestarzała, na wskroś tradycyjna, nienowoczesna, powiedzmy szczerze: nieeuropejska, z drugiej – podkreśla się jej nurt awangardowy, przejawiający się w epatowaniu golizną, śmiałymi, wręcz gorszącymi scenami, naturalistycznym (nierzadko fizjologicznym) uprzedmiotowieniu człowieka. Funkcjonowanie w Polsce tych dwóch, skrajnie odmiennych, ujęć zawsze mnie zastanawiało…

– Sądzę, że dokonany przez mnie wybór tekstów pozwala, choć w pewnej mierze, ocenić kondycję współczesnej dramaturgii białoruskiej, w której – obok dramatów tradycyjnych w swej formie (dramaturgia Alesia Pietraszkiewicza i Alaksieja Dudaraua) – obecne są teksty powstałe poprzez konfrontację tradycji z nowoczesnością (dramaturgia Siarhieja Kawaloua), a także i te, które wpisują się w model dramatu awangardowego (Mikoła Arachouski, Aleś Astaszonak, Ihar Sidaruk, Lawon Waszko). Zapewne w mniejszym stopniu zainteresuje przeciętnego Europejczyka tradycyjny dramat białoruski – cóż może on wiedzieć o powstaniu Waszczyły, czym mogą go poruszyć życiowe perypetie Salomei Pilsztynowej, czy Franciszka Skaryny, co może go obchodzić tragiczny los Konstantego Kalinouskiego czy Janka Kupały. Takich tekstów nie da się zrozumieć ani ocenić bez znajomości białoruskiej historii, bez wiedzy o białoruskiej tradycji kulturalnej i literackiej. Bliższe mu będą bez wątpienia uniwersalne tematy i problemy zawarte w tekstach Alesia Astaszonka, Siarhieja Kawaloua, czy Lawona Waszko. I nie chodzi tu bynajmniej o to, żeby szokować odbiorcę, przekraczać granice dobrego smaku, co jak wiemy, nierzadko spotyka się w najnowszym dramacie europejskim, a raczej o to, aby poprzez swoje artystyczne realizacje odbiorcy nie zawieść. Nie sposób sprostać oczywiście gustom estetycznym wszystkich odbiorców, jednakże trzeba wytyczać literaturze nową drogę, przełamywać istniejące schematy i konwencje.

Ale przyzna Pani, że lektura białoruskich dramatów nie podnosi na duchu. Rozdwojone w sobie, pozbawione tożsamości, błądzące w labiryncie postaci Mikoły Arachouskiego ocierają się niemal o chorobę psychiczną, bohaterowie Dudaraua przechodzą istne katusze, a u Ihara Sidaruka jest tak źle, że nawet rozmowa Poszukującego, Durnia i Głowy niczego nie wyjaśnia. Los niektórych białoruskich dramatopisarzy też nie napawa optymizmem: Aleś Astaszonak, po chorobie alkoholowej, zakończył życie w wieku 37 lat samobójstwem. Czy w białoruskiej dramaturgii jest jakieś światełko w tunelu?

– Nie podnosi też na duchu niełatwa, pełna sprzeczności białoruska rzeczywistość. Białoruska historia jest pełna tragicznych, bolesnych wydarzeń. Białorusini wciąż mierzą się z doświadczeniem stalinowskiego reżimu, tragedią w Czarnobylu, problemem afgańskim, przemilczanymi Kuropatami, czy dyktatorskimi rządami Aleksandra Łukaszenki. Literatura jest niczym innym, jak tylko odzwierciedleniem rzeczywistości, jest w tej rzeczywistości zanurzona, zakorzeniona bez reszty. Nie możemy jednakże zapominać jednocześnie o tym, że literatura jest fikcją, a zatem są w niej obecne liczne strategie artystyczne, które w sposób świadomy i celowy przejaskrawiają pewne fakty, zdarzenia, postawy, które opierają się na zasadzie, czasem subtelnej, czasem wręcz wyrafinowanej, gry z odbiorcą. A zatem nie możemy od-

czytywać przesłania poszczególnych tekstów czy interpretować życiowych postaw poszczególnych postaci bez uświadomienia sobie faktu, iż literatura jest kreacją, bez znajomości technik i strategii artystycznych, które pozwolą nam wyjść w swoich interpretacjach poza dosłowność i jednoznaczność.

Jakie jest więc zadanie literatury?

– Można by postawić pytanie, czy literatura ma podnosić na duchu, czy może raczej tego ducha poruszać? W dramatach Arachouskiego, Dudaraua, Kawoloua większość postaci jest wielowymiarowa, dynamiczna, nie daje się łatwo sklasyfikować, zamknąć w określone ramy czy schematy. I nie ma tu niczego pesymistycznego. Raczej bolesna prawda ludzkiego życia, które bardzo rzadko jest czarne albo białe. Zaprezentowane przeze mnie dramaty dowodzą ze zdwojoną siłą, że literatura jest niczym innym, jak tylko narzędziem dochodzenia prawdy o sobie i świecie.

Czy prawda we współczesnej dramaturgii białoruskiej jest umęczona, napiętnowana, prześladowana? Występujące w tytule Pani książki *ukrzyżowanie*, chociaż zaczerpnięte z twórczości białoruskiego dramaturga, wydaje się być ironią w odniesieniu do ateistycznej Białorusi.

– Tytuł książki – *Wolność ukrzyżowana* – jest bez wątpienia wieloznaczny. W sposób oczywisty podkreśla on profil tematyczny książki, ale też jednocześnie przenosi nas na płaszczyznę białoruskiej rzeczywistości politycznej, społecznej i kulturowej. A zatem przemawia na różnych poziomach, zawiera w sobie różnorodne konotacje, niektórych, być może, wprowadza w błąd.

Białorusini nie chcą być Mesjaszami Europy, bo po prawie wszyscy nie wierzą w Boga. Jeżeli uważają się za ofiary, to swojego cierpienia nie wiążą z symbolami religijnymi. Krzyże nad drzwiami wejściowymi białoruskich chat wiszą niezmiernie rzadko.

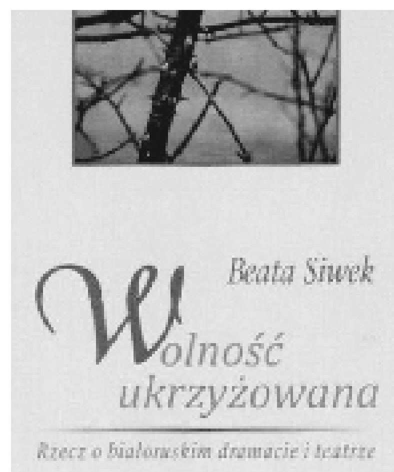
– Nie zgodziłabym się z twierdzeniem, że prawie wszyscy Białorusini nie wierzą w Boga. Nie ma wątpliwości, że wciąż jeszcze Białorusini doświadczają bolesnych skutków prowadzonej na szeroką skalę polityki ateizacji społeczeństwa. Można jednakże dostrzec nieznaczny wzrost świadomości religijnej Białorusinów, szczególnie wśród młodego pokolenia, które kształtowało się w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej. Owe zmiany widoczne są także na płaszczyźnie twórczości dramaturgicznej, której nieobce są dylematy natury religijnej, która stosunkowo często ukazuje człowieka w perspektywie zagadnień religijnych.

Na ile białoruska dramaturgia jest w Polsce dostępna? Czy istnieje grono tłumaczy, gotowych podjąć się trudu przetłumaczenia na język polski dorobku białoruskich twórców? Jak dotąd przekładami białorusko-polskimi często parali się przypadkowi absolwenci filologii rosyjskiej. A przecież język białoruski jest wykładany na kilku polskich uczelniach: Uniwersytecie Warszawskim, Uniwersytecie Jagiellońskim, a także w Białymstoku i Lublinie. Sytuację *dramatu nieobecnego* mogliby zmienić polscy Białorusini, a jednak białoruska literatura znajduje się z cieniu nawet na Białostocczyźnie. Czy sądzi Pani, że wynika to z sytuacji społeczno-politycznej na Białorusi?

– Bez wątpienia sytuacja społeczno-polityczna na Białorusi kładzie się cieniem na całej kulturze białoruskiej. Ma zatem istotny wpływ na sytuację białoruskiego dramatu i teatru oraz miejsce tych dziedzin sztuki we współczesnej kulturze europejskiej. Białoruska dramaturgia jest w zasadzie w Polsce nieznana. Liczba przekładów białoruskojęzycznych tekstów dramatycznych jest znikoma, a w wydanej kilka miesięcy temu antologii *Nowa dramaturgia białoruska,* zredagowanej przez Andrzeja Moskwina, nie znalazł się, niestety, żaden dramat białoruskojęzyczny. Grono doświadczonych tłumaczy, którzy chcieliby podjąć się trudu przetłumaczenia dramatów białoruskojęzycznych na język polski może nie jest zbyt szerokie, niemniej jednak istnieje. Mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy z nich przyjmą propozycję udziału we wspomnianym wcześniej projekcie.

Czy wybrane przez Panią utwory mają szanse trafić na sceny polskich teatrów? Czy współczesna dramaturgia białoruska może być ciekawa dla polskiego widza?

– Mam nadzieję, że moje publikacje poświęcone dramaturgii białoruskiej choć w pewnym stopniu zwiększą zainteresowanie białoruską dramaturgią współczesną. Nie sądzę, żeby wszystkie wybrane przeze mnie teksty zain-



Książkę Beaty Siwek *Wolność ukrzyżowana. Rzecz o białoruskim dramacie i teatrze* (wyd. Lublin 2011, 414 s.) można kupić w Księgarni Wydawnictwa KUL w Lublinie, które prowadzi również sprzedaż internetową (http://wydawnictwo.kul.lublin.pl/sklep), a także w większości księgarni naukowych w Polsce. Możliwa jest wysyłka książki na Białoruś.

teresowały odbiorcę polskiego. Otrzymałam już jednak pierwsze sygnały świadczące o zainteresowaniu twórczością Lawona Waszko, Ihara Sidaruka, czy Siarhieja Kawaloua. To zainteresowanie wykracza już poza granice naszego kraju. W czeskim Brnie młody białoruski dramaturg Vital Voranau przygotowuje niezwykle ciekawy projekt. Siedem białoruskich dramatów zostanie przetłumaczonych na język czeski i wystawionych na scenie. Złożyłam także swoje własne propozycje do projektu czeskiego i z zadowoleniem przyjęłam ostateczny werdykt. Aż pięć tekstów białoruskojęzycznych zostało wybranych do wspomnianego projektu.

Dziękuję za rozmowę i za pasjonującą książkę, którą czyta się z największą przyjemnością. Czasami jest tak, że niektóre utwory mamy ochotę przeczytać dopiero wtedy, gdy ktoś inny odnajdzie w nich coś niezwykłego. Mam nadzieję, że Pani monografia znajdzie wielu czytelników.

Rozmawiała

Agnieszka Goral

Ikar Nowych Czasów

Opowiadanie

„Rychłoż się zejdziem znów!" – powiedział Stach Żymełka niewieście, która pięknie utrzymanymi dłońmi rachowała, oblizując się szyderczo, ostatnią ratę jego. „Zaprawdę zdrowym bądź! A nim minie trzydzieści dni i trzydzieści nocy, dalibóg, rychłoż się zejdziem znów!!!" – odpowiedziała mu ta strzyga, a Staszek z zagadkowym uśmiechem na rumianych jagodach opuścił dział kredytów przychylnego banku. Jasny umysł Stanisława od dawna bowiem trawił ideę, która zrewolucjonizowałaby świat usług.

„Czas ludzi przyciągnąć" – powiedział swej brzemiennej powinowatej nad garncem pełnym zaskwarzonych bulb.

„Ludzie nie magnes, mój małżonku drogi. Popatrz, onucki ci świeże zgotowałam. Naści." – powiedziała wierna żona jego.

I wtedy Staszkowe usta wypowiedziały zdanie, które do dziś i na wieki wieków będzie cytowane. Zdanie będące kwintesencją Staszkowości i głębokiego, ogólnie pojmowanego humanizmu. Z ust jego padły słowa, w których zawarł ogromną troskę o losy ludzkości:

„Nie oto chodzi, babo z brzuchiem na wierzchu...".

I Stach zadumał się nad losem biednych owieczek bożych tułających się bez sensu i celu po obszarach głodu.

Strusie. To w nich upatrywał przyszłość swoją, swojej rodziny i całego świata!

„Te wielkie stworzenia ani nie odlecą, ani nie będą zanieczyszczać guanem naszych klap marynarkowych. Strusie znoszą olbrzymie jaja o pojemności trzydziestu jajek kurzenczych. To znaczy, że... Wiesz, co to babo znaczy?! Wyżywimy, moja luba, Etiopię, Mozambik i Wyspy Zielonego Przylądka!!! Wyżywimy Syberię i zapadłe wioski Uralu!!! Damy jeść kenijskim saracenom i ubogim Suwałkom...".

„W Suwałkach mają co jeść" – małżonka pokiwała głową znad ręcznej robótki.

„To będą jedli więcej, a zresztą to tylko była metafora".

I Staszek huknął w stół do świata jako takiego.

Pół roku trwało załatwienie formalności i sfinansowanie zaskórniacze owego przedsięwzięcia. Z zakupionych w euforii czterystu jaj strusich wylęgło się ponad trzysta ptaszyn.

Na marginesie powiem, że pokłady ich nawozu, dwieście milionów lat później nazwano agrokambrem i wykorzystywano do wydobywania i przewożenia bez celu na Plutona, gdzie spowodowało to zasianie życia opartego wcale nie na związkach białka, ale na wyziewach ze strusiowego guana. Powstałe życie, niestety, rozumem nie grzeszyło. Przeciwnie, było strasznie głupie.

To oczywiście daleka przyszłość. Strusiowy interes trwał trzy lata. Siedlisko rodu Żymełków przez ten czas rozrosło się i rozbudowało. Ktoś, kto w tamtym okresie znalazłby się opodal ptasiej farmy, zobaczyłby równinę pełną posegregowanych olbrzymich jaj. Widok, jak z planety obcych, ósmych pasażerów w chwili decydującego starcia z rzeczywistością.

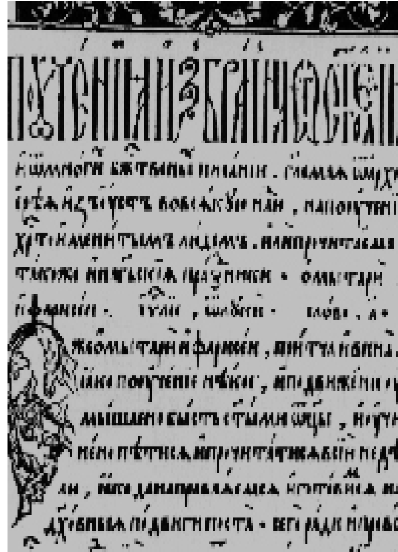
Całe to przedsięwzięcie nie przyniosło Staszkowi zysku, ale przyniosło sławę. To była jego pierwsza tak poważna porażka, której nigdy później nie zapomniał. Niestety, w napięciu strusiowego interesu Staszek nie zapłacił ostatniej raty onegdaj wziętego kredytu studenckiego. Nieszczęsny Stach!!! Mnogie urzędy państwowe skazały go na wieloletnie bycie uczestnikiem działań biurokracji. Staszkowe wnuki, sprzedając tę makulaturę, doczekały się wspaniałych emerytur i rent, choć też wstydziły się tego z cicha pęk.

A wszystko to opowiedział mi pewien znajomy znajomego, który widział Staszka zbierającego kombajnem rozrzucone na kilku hektarach strusie pióra i popłakującego w fałdy zmizerowanej kufajki. Ów znajomy znajomego zaklina się, że widział, jak Staszek Żymełka, za pomocą topionego wosku próbował je łączyć drżącymi palcami w skrzydła. Może chciał wyrwać się z tego świata pełnego zła, nienawiści i obłudy? Świata, gdzie rządzi pieniądz i amerykański styl życia...

A co było z nim dalej?

Rychłoż się zejdziem znów...

Krzysztof Bugajski



Календарыюм

Люты – гадоў таму

1020 – у 992 г., паводле летапісаў, былі заснаваны ў Полацку і Тураве епархіі і пастаўлены епіскапы.
885 – у 1127 г. былі аднатаваныя першыя летапісныя зьвесткі пра горад Гародня (Городна, Городень).
625 — 20 і 22 лютага 1387 г. кароль Польшчы Ягайла выдаў граматы пра наданьне прывілееў феадалам Вялікага Княства Літоўскага, якія прынялі каталіцкае веравызнаньне.
375 – 5.02.1637 г. у Вільні памёр Іосіф Вельямін Руцкі (нар. у 1573 ці 1574 г. у Руце на Наваградчыне), уніяцкі мітрапаліт, пісьменьнік-палеміст, царкоўна-палітычны дзеяч. Пахаваныў Вільніў Сьвятатроіцкім манастыры.
205 – 11.02.1807 г. у Варацэвічах на Палесьсі нар. Напалеон Орда (пам. 26.04.1883 г.), мастак, кампазітар.
160 – 21.02.1852 г. у Менску адбылася пастаноўка трупай Вінцэнта Дунін-Марцінкевіча першай беларускай опэры „Ідылія” С. Манюшкі і К. Кшыжаноўскага.
140 – 29.02.1872 г. у Крынках Аршанскага пав. нар. Вітольд Бялыніцкі-Біруля, вядомы мастак пэйзажыст. З 1947 г. жыў пад Менскам. Памёр 18.06.1957 г.
130 – 10.02.1882 г. у Вільні нар. Францішак Умястоўскі (Дзядзька Пранук), празаік і публіцыст, ініцыятар выданьня „Нашай Долі”, рэдактар-выдавец газэты „Беларускі Дзень” (1927 – 1928), жыў у міжваенны час у Вільні. У 1939 г. змабілізаваны ў польскае войска, у кастрычніку 1940 г. загінуў у Катыні.
130 – 4.02.1882 г. у Слуцку нар. Фабіян Шантыр, празаік і публіцыст, дзеяч беларускага руху падчас I сусьветнай вайны, муж Зоські Верас. Расстраляны бальшавікамі ў красавіку 1920 г.
125 – 27.02.1887 г. у в. Новы Двор, Менскага павету нар. Алесь Гарун (сапр. прозьвішча Аляксандар Прушынскі), дзеяч беларускага нацыянальнага руху, пісьменьнік, журналіст. Адзін са стваральнікаў Беларускай Народнай Рэспублікі, беларускага войска. Памёр 28.07.1920 г. у Кракаве, пахаваны на Ракавіцкіх могілках.
110 – 2.02.1902 г. у Новым Двары

Kaliś śpiawali

Czom ty, sałаwiejku

Zalesie
H. Kozłowski

Z ożywieniem (144)

1.Czom ty, sa - ła-wiej - ku, ra - no ni śpie-wa - jesz?
Mu - si, sa - ła - wiej - ku, ho - ła - su ni ma - jesz.

1. Czom ty, sаławiejku,
Rano ni śpiewajesz?
– Musi, sаławiejku, *
Hołasu ni majesz.

2. – Kab ja mieŭ i hołas,
Ta ja by śpiewaŭ by,
Kab ja mieŭ dziaŭczynu,
Ta ni biedawaŭ by.

3. – Iszli my barami,
Iszli my dałami –
Napatkali dzieŭczat
Z czornymi brywami.

4. Adna była Hanka,
Druha –Maryjanka,
A treciaj – ni skażu,
Bo maja kachanka.

*3-cija i 4-yja radki paŭtarać u kożnym kuplecie.

Ad Henryka Kazłoŭskaha, nar. u 1926 h., u wioscy Zalesie k. Sakołki, zapisaŭ 28.VIII.1998 h. i aprac. **Sciapan Kopa**

на Сакольшчыне нар. Станіслаў Грынкевіч (18.05.1945 г. расстраляны саветамі), лекар, грамадзка-культурны, палітычны дзеяч, літаратар, публіцыст.
110 – 11.02.1902 г. у в. Кацёлкі, Пружанскага павету нар. Янка Хвораст (памёр 1.07.1983 г.), балетмайстар, зьбіральнік беларускага харэаграфічнага фальклёру.
110 – 28.02.1902 г. нар. Павал Гаўрыленка (пам. 2.02.1961 г.), жывапісец, заснавальнік Саюзу Беларускіх Мастакоў.
105 – 14.02.1907 г. у Мінску нар. Алесь (сапр. Пётр) Звонак, паэт і перакладчык. Памёр у Мінску 2.02.1996 г.
105 – 23.02.1907 г. у в. Арляняты на Ашмяншчыне нар. Станіслаў Станкевіч (пам. 6.11.1980 г. у ЗША), грамадзкі дзеяч, настаўнік, літаратуразнавец і журналіст. Выпускнік у 1933 г. польскай і славянскай філялёгіі Віленскага Унівэрсытэту, у 1936 г. атрымаў дактарат гэтай вучэльні. Да 1941 г. працаваў настаўнікам, займаўся навуковай працай. У 1944-1945 гг. рэдагаваў у Бэрліне газэту „Раніца”, з 1945 па 1947 быў настаўнікам беларускай літаратуры ў Гімназіі імя Янкі Купалы ў Нямеччыне. У. 1948-1962 гг. рэдагаваў у Мюнхене газэту „Бацькаўшчына”. З 1963 г. пераняў рэдагаваньне газэты „Беларус” у ЗША, якую рэдагаваў да сьмерці ў 1980 г. Быў пастаянным супрацоўнікам беларускай сэкцыі Радыё Свабода, рэдактарам навуковых „Запісаў”.
100 – 1.02.1912 г. у Вільні адбылася першая пастаноўка п’есы Янкі Купалы „Паўлінка” (у прысутнасьці аўтара).
100 – 5(18).02.1912 г. памёр Іван Трутнеў (нар. у Ліхвіне Калужскай губ.), жывапісец і настаўнік. У 1866 г. арганізаваў і ўзначаліў Віленскую рысавальную школу, якой кіраваў да сьмерці. Праз яе прайшлі літоўскія і беларускія мастакі, м. інш. Язэп Драздовіч.
90 – 24.02.1922 г. памёр у Вільні Ядвігін Ш. (Антон Лявіцкі – нар. 4.01.1869 г. у маёнтку Дабосьна (зараз Жылічы) на Магілёўшчыне, празаік і публіцыст, працаваў у „Нашай Ніве” (1909 – 1910), „Беларусе” (1913), у рэдакцыі „Сахі” і „Лучынкі” (1913 – 1915). Пахаваны на Росах у Вільні.
85 – 28.02.1927 г. у Вільні выйшаў з друку апошні нумар грамадаўскай газэты „Наш Голас”.
80 – 26.02.1932 г. у Менску выйшаў I нумар тыднёвіка „Літаратура і Мастацтва”.
60 – 16.02.1952 г. памёр Еўсьцігней Міровіч (Дунаеў) (нар. 10.08.1878 г. у Пецярбургу), акцёр, драматург, рэжысёр, тэатральны дзеяч. У 1957 г. выйшаў яго зборнік „П’есы”.
55 – 25.02.1957 г. у Бялынавічах Касьцюковіцкага р-на на Магілёўшчыне нар. Алесь Пісьмянкоў, сучасны беларускі паэт.

Апрацавалі **Лена Глагоўская** і **Вячаслаў Харужы**

Echa Ostoi Utraconej

Eugeniusz Czyżewski

33. Lejtienant zbiorowe zdjęcie miał, które im gazeta armijna w Baranowiczach robiła dni kilkanaście temu. Gazeta, poszarpana, ale czytelna, opisuje ich czyny bojowe, gdzie bohaterstwo w boju wykazali. Śmiało w obronę wroga wjechali i ją zniszczyli, piechocie drogę torując. Tu też podobnie tak jechali, tylko odwaga śmiercią się skończyła, czołg niemiecki ich rozstrzelał. Na zdjęciu kilkunastu wojaków, lejtienant w środku, bo to jego wojsko, a za nimi trzy czołgi widać, które od Baranowicz aż do wsi naszej dojechały. Na czołgu jego desant piechoty jechał i dlatego trupów aż siedem, on z czołgu płonącego wylazł, pozostali co w środku byli, dziś w kawałkach są, spłonęli również ci, co na czołgu zabici zostali. Niemiec do płonącej maszyny jeszcze kilka pocisków przysłał, by i ranni żywi nie pozostali. Z lejtienantem starszy wiekiem sołdat jest, cztery medale pierś mu zdobią, on też na tym zdjęciu jest, ale chyba na tym spalonym czołgu nie jechał. Lejtienant mówi, że gdy wczoraj wroga atakował i na pancerzu piechotę wiózł, zabudowania podpalił, bo w dymie ukrycia szukał, ale dym prosto w górę szedł i go nie zasłonił. Tak to sprawca spalenia zagrody komendanta się ujawnił. Strata zagrody, strata czołgu i tylko Niemca korzyść. Stary sołdat tak jakby do siebie powiedział: „Durakam zakon nie piszut”. Wypowiedź tą powtarzano we wsi, gdy wspomnienia o tym boju były. Jedni mówili, wojak uważał, że źle atakowano, inni że ten desant na czołgu to i piechota niemiecka zestrzelić mogła i że lepiej biec za czołgiem jak na nim jechać. Mówili tak starzy wojacy, którzy nigdy z czołgiem nie walczyli, ale przecież każdy po fakcie strateg wielki.

Rakieta czerwona w górę, bo białej lejtienant nie posiada, pogrzeb kończy. Nikt lejtienanta o nazwisko nie pyta, nikt o to zdjęcie nie prosi, ani o tę gazetę i po latach jakoś wstyd, że ludzie tu w boju padli, a nawet imienia żadnego po nich nie zostało. Lejtienanta nikt też na posiłek nie zaprosił, choć słońce już kawał nieba przeszło, a nie wiadomo czy i śniadanie ci ludzie jedli. Głupio wyszło i choć

winnego nie nazwano, wszyscy winni. Ze wstydem to się wspomina.

Kobiet kilka, co na pogrzeb przybyły, rozpytywały to lejtienanta, to starego wojaka czy gdzieś nie spotkali ich syna, męża, opowiadając jak on nazywa się, jak wygląda, a nawet jaki znak szczególny go wyróżnia. Mazureczka, co to jej syn ze szkołą z Białegostoku do Sojuza odjechał, kilkakrotnie z pytaniem podchodziła, czy czasami czegoś nie przypomnieli. Tak to swoje sprawy górą nad cudzymi stoją bez względu na okoliczności. Żadna z tych kobiet o nakarmieniu wojaków też nie pomyślała. Sołdaty zadbali o pochówek przyjaciół, z którymi wczoraj do wsi na wroga jechali. Martwych ziemia przyjęła, a żywi ścieżką wojny po swój los poszli, odeszli, ale jakby nie całkowicie, w pamięci żyją nie jako obcy, ale coś w bliskości pozostaje. Pogrzeb czołgistów zakończono, lejtienant mówi, że tam przy okopach martwa piechota leży. Chłopcy poszli im mogiłę zrobić. Jedenastu czerwonoarmistów znaleziono, w tym jednego lejtienanta. Martwi do ziemi podobni, z ziemią w garściach, bo chyba w bólu konania ją drapali. Szczupli, to i słońce ich nie wzdęło, dwóch z nich w ubiorze cywilnym, dokumentów żadnych, tylko jeden w kieszonce bluzy książeczkę ze Stalinem na okładce ma. Azjata on, chociaż cyrylicą wydrukowano słowa w nieznanym języku.

Wczoraj po bitwie teren ten Armia Czerwona miała, ale przy zabitych broń leży, automaty, karabiny, granaty, taśmy z nabojami, czyżby sprzęt ten nikomu potrzebny nie był? Przecież jakieś naczalstwo mają, które ich dzisiaj na szosę białostocką poprowadziło. W kilku miejscach leżą naboje karabinowe ze zbitą spłonką, ale wystrzału nie było. Kto sołdatom taką amunicję dał, co wojak myślał, gdy kolejny nabój nie wystrzelił, może brak tego strzału śmierci jego sukcesem jest. Jedni mówili, że wojak amunicję zamoczył, inni uważali, że na wodę miejsca brak, więc ktoś tą amunicję celowo złą robi.

Grób zbiorowy w zagajniku powstał, wiejskie chłopaki pogrzeb sprawili. Salwę honorową chcieli odpalić, ale nadszedł stary August i do strzelania nie doszło, kto wie jakby wojsko zareagowało, które gościńcem nadal w kierunku szosy się wlokło.

Tak ta wojna szesnastoletnich chłopaków do śmierci przyzwyczaiła, chociaż przecie żaden z nich na wojnie frontowej nie był, nic to, że trzeba trupa przenieś i na sznurze w mogiłę położyć.

Niemców martwych sześciu znaleziono, dwóch przy armacie rozbitej, to sukces czołgu ocalałego, a czterech w różnych miejscach przed okopami i chyba ci z czołgu spalonego strzelali, bo tak ślady gąsienic biegły. Trup niemiecki też przy broni, więc w boju padł. Inny to trup, duży, wzdęty i taki obcy, na piersiach medaliki tożsamości numerowane, w kieszeniach „Soldaten buch”, czyli książeczka wojskowa. Chłopaki coś tam po niemiecku odczytali, bo to i w szkole czegoś tam się nauczyli, gdy Żyd Kwiatek ich niemieckiego uczył i za Niemca tu różne papiery w tym języku trafiały Wyczytano więc, jak ten sołdat nazywa się, jaki ma wzrost i jaki rozmiar butów. Nikt jednak niczego od tych trupów nie brał, ich znaczki, ich papiery razem z nimi ziemią zasypano. Ziemię im dano tam, gdzie leżeli, tak na metr głęboko, bez nagrobku.

Tylko jeden Niemiec ziemi nie otrzymał. Znaleźli go pastuszkowie po kilku tygodniach od bitwy, we wrzosach leżał pod Sokolą Górą, tam gdzie kamień z nieba jezioro zrobił. Trup wysechł, włosy mu urosły, ale nikt tam z łopatą nie poszedł, to i tak pozostał, aż gdzieś kości zwierz rozciągnął.

Czołg ten uszkodzony rozbitą i zerwaną gąsienicę miał, i wszystkie pociski wystrzelał, bo chyba on tak do ostatka wieś okładał. Stał w zagajniku i nikogo przy nim nie było. Widocznie zbyt tu smutno, to i pilnować nie warto. Czołg naprawiono i na trzeci dzień odjechał drogą wojny.

Karabiny, automaty, sowieckie i niemieckie chłopaki do wsi nieśli. Te z uzbrojenia Armii Czerwonej bojcy wzięli, którzy akurat samochodem do wsi jechali, tylko automaty chętnie brali. Karabinów niemieckich nie wzięli, strzelano z nich w żwirowni do celu do późnej jesieni, do czasu aż milicjant tu objawił się i na posterunek je zabrał. Strzelali młodzi i starzy, amunicji kilka skrzyń z pobojowiska przyniesiono. Zdarzało się tak, że dziesięcioletni smyk celniej strzelał od tych, co niegdyś w wojsku służyli. Chłopi zrozumieć nie mogli, dlaczego pola walki nie uprzątnięto. Martwy wojak swój, to przecież też swój, a broń, amunicja, skrzynie, taśmy, torby to też wartość określona i ktoś to wyprodukować musiał. Skrzynki po amunicji wieś chętnie przywłaszczyła, za walizki potem służyły, gdy potrzeba w świat ze wsi ruszyć zmusiła. Skrzynka więc zapłatą była za straty, jakie wieś poniosła, bo tylko taką zdobycz z pola walki przyniesiono, bo te karabiny niemieckie to tylko u Gonsia trzymano, inni w obejściu ich mieć nie chcieli.

Miny przeciwczołgowe zdjęte, przy zagrodzie na końcu wsi złożone, ze dwa tygodnie tam leżały. Sześcian ponad metr wysoki i ze trzy metry szeroki, kilkaset kilogramów trotylu w nim, to wielka bomba. Dzieci minami zaczęły gospodarzyć. Co taka mina za siłę stanowi, nikt tu nie wiedział, ale jak jedna na czołg wystarczała, to co znieść mogły łącznie. Proszono oficerów, którzy tu przejazdem bywali, by miny uprzątnięto. Zamierzano też w pole wywieźć i tam je złożyć, ale dzień za dniem schodziły i nic nie zmieniało się do czasu, aż redakcja gazety armijnej tu stanęła. Oficerowie z tej redakcji znaleźli tego, który w ich wojsku gospodarzem od min był. Czołg spalony, armatę rozbitą jesienią trotylem rozerwano i ciągnik wojskowy zdobyczny złom na stację w Sokółce odwiózł. Tak to pole bitwy z grubsza oczyszczono, bo amunicję, granaty, niewypały znajdowano przez lat kilka w zagajnikach i na nieużytkach.

W dniu drugim po odejściu Niemców, ruszono za frontem na poszukiwanie krów i koni. Na szosę białostocką udało się ze trzydzieści osób, starzy mężczyźni, leciwe kobiety, no i chłopaki około lat piętnastu. Dorośli w sile wieku dro-

gą frontową chodzić nie mogą, można wpaść w tarapaty jak ten komendant, gdy z konwoju zbiegł. Zwolniono go dopiero we wsi przy pogorzelisku zagrody. Wiadomym było, że krowy kilometrów z dziesięć chłopi w konwoju pędzili, zanim zbiegli. Nadzieja była, że może w której z wiosek przy szosie są, tam też konie mogły być. Front oddalił się, strzelaniny nie słychać, ale szosą wojsko ciągnie i pieszo, i samochodami. Tuż obok szosy we wsi leśnej bitwa rozgorzała, działa strzelają, broń ręczna terkocze, a wojsko szosą do przodu podąża, jakby tuż po sąsiedzku z wrogiem nie walczono.

August stary orzekł, że to w lesie jakiś oddział niemiecki namierzono i go likwidują. Okazało się później, że byli to Niemcy, którzy jako ostatni naszą wieś opuścili, to ich likwidowano i wieś teraz jako jeńców zobaczy. August wieśniaków pod Supraśl prowadzi, droga czysta, tylko w jednym miejscu trzech zabitych Niemców leży, samochody po nich jadą, czaszki w ziemię wbite. Tyle tu nienawiści widać, że nawet trup zemstę odbiera. W innym miejscu wojsko na biwaku, a wśród nich czterech jeńców Niemców, a także cywile, którzy z wieśniakami w lesie byli, gdy z końmi się ukrywali. Teraz pod konwojem razem z Niemcami siedzą. Ucieszyli się na widok znajomych i o potwierdzenie, że oni przed frontem w lesie tułali się, proszą. Chłopaki tę prawdę dla konwoju mówią, ale czy miało to wpływ na los tych ludzi, nie wiadomo. *Cdn*

Na wschód od Białowieży

Zbigniew Charczun

2. Bereza Kartuska – prowincjonalne miasteczko nad rzeką Jasiołdą – leżała w odległości około pięciu kilometrów od stacji kolejowej o tej samej nazwie. Przebiegała przez nią szosa z Brześcia do Baranowicz. W tym niewielkim mieście znajdowały się kościół, cerkiew, warsztaty rzemieślnicze, sklepy, szkoła powszechna. Handel i drobne rzemiosło skupiały się przeważnie w rękach Żydów. Bereza słynęła z obozu odosobnienia dla więźniów politycznych (1934-1939). Stacjonował w niej garnizon policji obsługującej obóz. Młodzi ludzie w policyjnych mundurach byli zauważalni w miasteczku i wywierali wpływ na jego koloryt. W czasie uroczystości z okazji świąt państwowych oddział policji brał udział w defiladach.

Rodzice zaopatrywali się w artykuły pierwszej potrzeby u Lewinsonów – Żydów prowadzących sklep wielobranżowy. Za domem, w którym znajdował się sklep i mieszkali Lewinsonowie, na małym wybrukowanym podwórku była szopa. Pod nią zostawialiśmy konia i bryczkę na czas załatwiania naszych spraw.

W Berezie Kartuskiej kontynuowałem naukę w szkole powszechnej. Do miasteczka dojeżdżałem furmanką, pokonując odległość siedmiu kilometrów. Jeździli ze mną córka sąsiadującego z nami gajowego i syn zamożnego gospodarza. Środek transportu zapewniali po kolei rodzice dojeżdżających.

Szkoła znajdowała się na peryferiach miasta. Prowadziła do niej ulica z nieutwardzoną nawierzchnią, na której po obfitych deszczach powstawały roztopy. Wtedy z trudem można było przejść, korzystając z gdzieniegdzie położonych drewnianych chodników. Przy tej ulicy znajdował się budynek z podnoszonym fragmentem dachu. W czasie trwającego 8 dni judaistycznego święta Kuczek (szałasów), obchodzonego jesienią na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni, część dachu była uniesiona i widziało się świętujących na poddaszu Żydów.

Szkoła wychowywała w duchu patriotycznym, kultu dla marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i szacunku dla polskiego żołnierza. Na ścianie klasy widniał cytat słów marszałka: „Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, tak jak przedtem był wyścig żelaza, tak jak przedtem był wyścig krwi”. W zeszytach na pierwszej stronie wypisywaliśmy hasło: „Idźmy śladami naszego bohatera!”.

Uczniowie siedzieli w ławkach, pisząc stalówkami umocowanymi w obsadkach. Odpowiednio ukształtowane kałamarze były wpuszczone w znajdujące się w ławkach otwory. Uczniom nie wolno było pisać wiecznym piórem (uważano, że wypaczał się charakter pisma). Długopisy nie były jeszcze znane.

Po lekcjach opuszczałem Berezę, więc nie miałem kolegów z klasy. Wyjątkiem był syn kowala, który do mnie przylgnął. Wykuł dla mnie szablę – klingę wraz z pochwą – w kuźni ojca.

12 maja 1935 roku umarł marszałek Polski Józef Piłsudski. Polska okryła się żałobą. W Stryginiu z inicjatywy nauczycielek szkoły powszechnej postanowiono upamiętnić to smutne zdarzenie, wznosząc krzyż naprzeciwko szkoły. Ponieważ miejscowa ludność wyznawała prawosławie, krzyż był prawosławny. U jego podnóża zakopano butelkę z wycinkami z czasopism zawierającymi ilustracje z pogrzebu marszałka.

W 1937 roku ukończyłem szóstą klasę szkoły powszechnej w Berezie Kartuskiej oraz zdałem egzamin wstępny i

zostałem przyjęty do gimnazjum w Prużanie. Krawiec w Berezie, z którego usług stale korzystaliśmy, uszył mi mundurek gimnazjalny.

Prużana – niewielkie powiatowe miasteczko – leżała w odległości około siedmiu kilometrów od stacji kolejowej, z którą łączyła ją kolej wąskotorowa. Do Berezy Kartuskiej było około czterdziestu kilometrów. Społeczeństwo miasta stanowili wyznawcy różnych religii – katolickiej, prawosławnej i mojżeszowej. Niedaleko Prużany znajdowała się jednostka wojskowa – artyleria konna i kawaleria. Corocznie ludność miasteczka entuzjastycznie witała kwiatami żołnierzy powracających z ćwiczeń na poligonie.

W Prużanie mieszkałem na stancji u pani Wiery, Rosjanki. Gimnazjum było usytuowane niedaleko. Szkoła średnia przechodziła wówczas na dwustopniowy system nauczania – cztery klasy gimnazjum i dwie liceum, zamiast ośmioklasowego gimnazjum. Wybrałem klasę, w której był wykładany język francuski. Łacina należała do przedmiotów obowiązkowych.

W mojej pamięci utrwaliły się sylwetki kilku profesorów. Matematyk miał ogromną głowę i mawiał: „Żeby się tego nauczyć, nie trzeba mieć głowy jak ceber – wystarczy mała kształtna główka". Łacinnik był zapalonym harcerzem – pełnił funkcję komendanta hufca. Ksiądz – wysoki, z nalaną twarzą – cierpiał na zgagę i w czasie lekcji zażywał sodę, popijając wodą. Pewnie ta dolegliwość sprawiała, że był stale podenerwowany. Gimnastyk, nasz wychowawca – zadbany, stary kawaler – potrafił zachować się ordynarnie, nazwał na przykład cymbałem niezdarnego kolegę wysokiego wzrostu, który nie mógł przeskoczyć przez kozioł.

Gimnazjum nie tylko przekazywało wiedzę, lecz także wychowywało, uczyło dobrych manier (np. kłaniania się). Szkołą patriotyzmu było harcerstwo, do którego wstąpiłem. Pełniłem funkcję sekretarza drużyny. W starszych klasach młodzież miała zajęcia z PW (przysposobienia wojskowego). Gimnazjaliści podlegali szkolnej dyscyplinie. Poza domem można było przebywać tylko do określonej godziny, po której nauczyciele urządzali od czasu do czasu „łapanki" na uczniów. W korytarzu gimnazjum wywieszano afisze imprez dozwolonych dla młodzieży. Do kościoła na nabożeństwa chodziło się parami całą szkołą. Sprawdzano obecność. Gimnazjum posiadało własną orkiestrę, która uczestniczyła w uroczystościach szkolnych. Brałem udział w różnych rozrywkach – grałem w siatkówkę, jeździłem na łyżwach, uczęszczałem do kina, chodziłem na szkolne zabawy.

W czasie mego pobytu w Prużanie miało miejsce klika wydarzeń. W starym systemie nauczania istniała jeszcze tylko ósma klasa. Przygotowywano się do matury. Kilku abiturientów dostało się do piwnicy, zrobiło wyłom w suficie pod podłogą pomieszczenia, gdzie odbywała się sesja poświęcona maturze i podsłuchiwało obrady. Podsłuch wykryto, a uczniów, którzy brali w nim udział, nie dopuszczono do matury.

Gimnazjaliści z młodszych klas znaleźli zardzewiały rewolwer bębenkowy. Pociąganie za spust nie uruchamiało jego mechanizmu. Bawiąc się jeden z uczniów wycelował w brzuch kolegi, nacisnął cyngiel i... padł strzał. Cała szkoła przeżywała tę tragedię. Na szczęście udało się chłopca uratować.

Do najprzyjemniejszych chwil należały wyjazdy na fe-



Wycieczka szkolna z Berezy Kartuskiej do Kosowa Poleskiego na tle gmachu starostwa. Zbigniew Charczun na pierwszym planie w pozycji półleżącej. 1936 r.

rie do domu – podróż koleją, pociągiem i bryczką, czekający rodzice i Stefan, witający mnie Brudas, widok znajomych kątów. Szczególnie urocze były wakacje zimowe. Choinka z płonącymi świecami, rozchodzący się od niej zapach igliwia i żywicy, uroczysta kolacja wigilijna i prezenty gwiazdkowe stwarzały niepowtarzalny nastrój.

Wiosna 1939 roku była pełna niepokoju z powodu niemieckich żądań i gróźb kierowanych pod adresem Polski. Któregoś dnia nauczyciel łaciny przyszedł na lekcję w mundurze wojskowym. Został zmobilizowany, ale nadal wykładał w gimnazjum. W położonej niedaleko Prużany jednostce wojskowej, w której odbywał służbę, panował ożywiony ruch – wcielano rezerwistów do wojska.

W czerwcu 1939 roku otrzymałem promocję do trzeciej klasy gimnazjalnej i wyjechałem na wakacje do domu. Mój brat ukończył w tym czasie piątą klasę szkoły powszechnej w Berezie Kartuskiej, do której dojeżdżał, podobnie jak ja dawniej, furmanką.

1 września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę. W radiu nadawano muzykę przerywaną komunikatami dla wojska: „Uwaga, uwaga! Nadchodzi...". Dalej był szyfr składający się z liter i cyfr. Pewnego dnia, gdy ojciec, gajowy i ja staliśmy przed naszym domem, pojawił się na niebie niemiecki samolot z czarnymi krzyżami pod skrzydłami. Gajowy bez namysłu strzelił z karabinu w kierunku samolotu, który, zatoczywszy łuk, poszybował dalej.

17 września 1939 roku dotarła do nas wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. Teraz wiemy, że przed wybuchem wojny Niemcy i ZSRR zawarły tajny układ – pakt Ribbentrop-Mołotow – w którym podzieliły Polskę między siebie. Ojcu udało się nastawić radio na radziecką rozgłośnię. W głośniku zabrzmiał głos spikerki: „Krasnaja Armia połucziła prikaz..." (Armia Czerwona otrzymała rozkaz przekroczenia granicy Polski). W czasie słuchania radia rozładował się akumulator i nie można było uzyskać dalszych informacji. Zaprzęgliśmy więc nasze młode klacze do bryczki i pojechaliśmy do gajowego Demidowicza, mieszkającego w oddalonej od nas kilka kilometrów gajówce (Irma i Igraszka, mimo że miały zaledwie po półtora roku, w związku z niepewnym jutrem były od jakiegoś czasu intensywnie przyuczane do chodzenia w zaprzęgu). Gajowy miał radio kryształkowe ze słuchawkami. Usiłowaliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o inwazji sowieckiej na Polskę. Po powrocie do domu załadowaliśmy na bryczkę najważniejsze rzeczy. Wśród nich był mój album ze zdjęciami, które przetrwały burzliwe lata II wojny światowej i zachowały się do dziś. Odjechaliśmy w kierunku Berezy Kartuskiej. Ciepłe lato sprawiło, że niski poziom wody w Jasiołdzie pozwalał przez nią przejechać w bród, więc rodzice postanowili udać się do Berezy krótszą drogą, na przełaj przez łąki. Po przedostaniu się na drugi brzeg rzeki posuwaliśmy się pomału po podmokłym terenie, który stawał się coraz bardziej grząski. Konie i bryczka zaczęły zapadać się w błocie. Dalsza jazda stała się niemożliwa. Wzięliśmy do rąk tyle pakunków, ile dało się unieść i zostawiając konie oraz pozostałe rzeczy, wyruszyliśmy pieszo w dalszą drogę. Do miasteczka było około kilometra. Udaliśmy się do Lewinsonów, którzy przyjęli nas pod swój dach.

Tak rozpoczęła się nasza wojenna tułaczka. ■

Carski pałac w Białowieży

1. Puszcza Białowieska od dawnych czasów była tradycyjnym miejscem polowań urządzanych przez przywódców państwa. Polowali tutaj wielcy książęta litewscy, królowie, tradycję tę kontynuowali również rosyjscy carowie. W 1860 roku polował w Puszczy car Aleksander II, następne łowy urządził w 1894 roku Aleksander III, natomiast car Mikołaj II organizował polowania w 1897, 1900, 1903 i 1912 roku.

Uczestnikom monarszych łowów dokuczał brak w Białowieży przestronnego budynku, w którym mogliby się zatrzymać i odpocząć po łowieckich emocjach. Budynek wybudowany w 1845 roku dla namiestnika tzw. Północno-Zachodniego Kraju (d. Wielkie Księstwo Litewskie) z trudem mieścił licznych dostojnych myśliwych. Decyzję o wybudowaniu pałacu myśliwskiego w Białowieży podjął car Aleksander III w kwietniu 1889 roku. Stało się to po uprzednim włączeniu przez niego Puszczy do domen carskich, czyli tzw. apanaży.

Projekt pałacu opracował nadworny architekt hrabia Mikołaj de Rochefort. Przyjeżdżał on osobiście do Białowieży, by wybrać odpowiednie miejsce pod budowę. Na ten cel najbardziej nadawało się wzgórze, na którym niegdyś stał dwór myśliwski Augusta III. Dzisiaj wznosi się tutaj olbrzymi gmach mieszczący muzeum, administrację parku narodowego oraz hotel z restauracją.

Prace przy budowie pałacu rozpoczęły się jeszcze w 1889 roku. Uczestniczyła w nich masowo miejscowa ludność, która z entuzjazmem powitała ten niebywały zaszczyt dla ich miejscowości. Cegłę wyrabiał na miejscu Karol Miller, specjalista sprowadzony z Górnego Śląska (w Białowieży do dzisiaj żyją jego potomkowie). Tzw. licówkę, czyli cegłę przeznaczoną na front budynku, moczono przez dobę w oliwie, co zapewniało odporność na wchłanianie przez nią wilgoci, a poza tym dawało większą trwałość. Cement portlandzki i wapno sprowadzano z głębi Rosji. Starsi białowieżanie wspominali, że w tym czasie w Białowieży powyzdychały wszystkie kury. Dziobały one wapno

sypiące się z wozów, które, zjadane w nadmiarze, szkodziło im. Przy budowie fundamentów pałacu wykorzystano część dużych głazów z uroczyska Zamczysko. Pozostałą część kamieni chłopi zwieźli z lasów i pól. Miejscowego pochodzenia był także materiał drzewny użyty do wystroju wnętrz, reprezentowany przez dziesięć gatunków drzew.

Architekt de Rochefort na czas budowy przeniósł się z rodziną do Białowieży. Na budowę przyjeżdżali do niego, w celu odbycia praktyk wakacyjnych, studenci szkół inżynieryjnych. Jeden z nich, A. Dietrich, ożenił się z córką architekta.

Budowę pałacu zakończono w sierpniu 1894 roku. W późniejszym czasie kontynuowano jeszcze urządzanie komnat. W latach 1906-1907 prace te, wykonywane w duchu romantyzmu, prowadził młody petersburski architekt Iwan W. Żołtowskij. Ogólny koszt budowy pałacu, wliczając wystrój i umeblowanie komnat, wyniósł 542 tysiące rubli.

W trakcie wznoszenia pałacu zbudowano w jego otoczeniu, kosztem 780 tysięcy rubli, szereg obiektów towarzyszących, takich jak dom dla świty carskiej (Świcki Dom), stajnię dla 40 koni, garaż, dwa drewniane domki parterowe dla carskiego furmana i zarządcy pałacu, dom szoferów, łaźnię, wozownię, elektrownię, młyn elektryczny. Białowieżanie i liczni miejscowi urzędnicy dzięki budowie tych inwestycji znacząco poprawili swoje materialne położenie.



Południowa fasada pałacu. Przełom XIX i XX w.



Północna fasada pałacu. 1940 r.

Pałac nie odznaczał się zdecydowanym stylem architektonicznym, był eklektyczny. Posiadał w zasadzie dwie kondygnacje, ale miał też rozbudowane podpiwniczenia i mansardy. Nakryty był dachem dwuspadowym. Od strony wschodniej i zachodniej pałac zdobiły dwie wieże – mała i duża. Duża wieża była ozdobiona herbem carskim, w którym wykorzystano też elementy herbu guberni grodzieńskiej. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości tarcza herbu została przemalowana i pojawiło się na niej godło polskie.

Wygląd zewnętrzny pałacu wprawdzie nie budził specjalnego zachwytu, za to jego wnętrze odznaczało się wyśmienitym wystrojem. Komnaty urządzono nadzwyczaj kunsztownie i pomysłowo, każda miała swój własny styl. Niektóre były bardzo oryginalne, jak chociażby te, których ściany wyklejono starymi znaczkami pocztowymi z całego świata czy też kartami do gry. Większość komnat miała swoje nazwy. Na przykład – dla wielkich książąt były przeznaczone komnaty „Z lwami" „Brzozowa", „Sosnowa"; dla świty carskiej „Noc", „Zorza", „Czerwona", „Zielona"; dla dam dworu „Maki" i „Altanka".

Komnaty odznaczały się mnóstwem najwymyślniejszych ozdób. Na sufitach i ścianach znajdowały się oryginalne wypalane ornamenty, jak również malowidła o tematyce leśnej i myśliwskiej, wykonane przez artystów z Petersburskiej Akademii Sztuk, głównie zaś przez Zdzisława Piotra Jasińskiego i jego brata Stanisława. Ściany przyozdobiono manilskimi i chińskimi rogożami oraz angielskimi błyszczącymi perkalami. Okucia drzwi, okien, luster, kandela-

brów i innych wewnętrznych metalowych ozdób wykonano z polerowanego i odpowiednio czernionego żelaza, połączonego z brązem. Bardzo piękny, ciemny kolor materiału drzewnego, użytego do wykonania licznych plafonów, gzymsów, boazerii i panneau, uzyskano przez długotrwałe gotowanie drewna w wodzie. Wszystkie parkiety zostały ułożone na cienkiej warstwie suchego piasku, co eliminowało nieprzyjemne skrzypienie przy chodzeniu. Piece i wanny były wybudowane z różnobarwnych, oryginalnych kafli.

W pałacu znajdowało się około 120 pokoi. Prawie cały parter i piętro zajmowały apartamenty carskie, z wyjątkiem pokoi na parterze, na prawo od głównego wejścia, gdzie mieściła się kancelaria podróżna. Zaraz u wejścia znajdowało się pomieszczenie dla parasoli i lasek. Dalej prowadziły na piętro główne schody, zaścielone aksamitnym dywanem.

Ściany w poczekalni były ozdobione medalionami z poroży łosia, w metalowej oprawie. Na ścianie wisiał też metalowy barometr w oprawie z rogów. Prócz myśliwskich trofeów w pokoju znajdował się kiot z olejną ikoną „Anioła Stróża”.

Poroża łosi ozdabiały także ściany w pokoju przyjęć. Meble w nim były wykonane z drewna jesionowego. Na stole stał kryształowy pojemnik na atrament z elementami zdobniczymi wykonanymi z poroży łosia. W pokoju tym przechowywano album z widokami Smoleńska, ofiarowany carowi przez fotografa I. Gorbunowa, a także album z zabytkami Smoleńska z okresu tzw. wojny ojczyźnianej, ofiarowany przez płk. inż. Szulcmana. Oba albumy trafiły do pałacu w sierpniu 1912 roku.

Największy i najokazalszy pokój na parterze, wychodzący na taras południowy, służył jako sala jadalna i bankietowa. Znaczną jej część zajmował ogromny stół z ośmioma nogami. Wkoło niego stało 30 krzeseł, wykonanych z drewna dębowego, z ciekawą, rzeźbioną i wypalaną ornamentyką. Siedzenia i oparcia miały obicia z ciemnozielonej skóry, z wyciśniętymi na niej kwiatkami. Krzesło przeznaczone dla cara było nieco wyższe od pozostałych, na lewej stronie oparcia miało wizerunek srebrnej korony. Taka sama korona zdobiła oparcie krzesła przeznaczonego dla carycy. Nieopodal stołu stał stojak dębowy na 16 strzelb. Pod sufitem w jadalni wisiały dwa duże lustra w oprawach miedzianych z niklowanymi paskami, przyozdobione miedzianymi elementami i kryształowymi wisiorkami.



Pałacowa kuchnia

W sali tej eksponowano liczne trofea myśliwskie. Znajdowały się tutaj dwa wypchane żubry, ustrzelone podczas polowania carskiego w 1897 roku. Po sąsiedzku wisiały spreparowane głowy trzech żubrów, ustrzelonych w 1900 roku. Dalej ustawiono wypchanego żubra, przy którym umieszczono również medalion głowy żubra – oba preparaty stanowiły pamiątkę polowania z 1903 roku. Wszystkie eksponaty były opatrzone tabliczkami informacyjnymi.

Na ścianach tej sali wisiało mnóstwo rogów żubrów oraz poroży łosi, jeleni i sarn, umocowanych na drewnianych tabliczkach. Były to trofea z carskich polowań w latach 1894 (33 pary), 1897 (26 par) i 1900 (131 par). Trofeów z 1912 roku było znacznie mniej: rogów żubra – 1, poroży jelenia – 19, daniela – 2, sarn-kozłów – 3. Uwagę zwracało przede wszystkim ciekawe poroże jelenia, ustrzelonego na terenie Puszczy w 1903 roku. Miało ono na jednej tyce 14 odnóg, na drugiej 12. Jelenia ustrzelili jednocześnie dwaj myśliwi, którzy nie potrafili rozstrzygnąć sporu, komu ma przypaść trofeum. Car Mikołaj II zarządził, że oryginalny wieniec trafi do pałacu, a obaj myśliwi otrzymają dokładne jego kopie zrobione ze specjalnej masy przez berlińskiego majstra. Całą tę kolekcję myśliwską uzupełniały eksponaty borsuka i głuszca. Obok nich umieszczono starodawną tacę z malowidłem przedstawiającym polowanie w Puszczy Białowieskiej. Poza tym, na ścianach można było dojrzeć także obrazy „Morze i statki” i „Las”, oprawione w ramki z drewna brzozowego.

Meble w sali bilardowej na parterze były wykonane z drewna dębowego. Stało tu 12 krzeseł obitych skórą i sofa, obok znajdowały się dwie szafy i jedna szafa-umywalnia. W pobliżu okna ustawiono stół, na którym leżały komplety szachów i warcabów. Zakupiony za 2100 rubli w 1904 roku, w znanej fabryce Frenberga stół bilardowy miał rzeźbione boki i dekoracyjną angielską tabliczką łupkową. Sto-

jaki były przyozdobione kością słoniową. Nad stołem bilardowym zwisał płaski metalowy plafon, upiększały go zielone jedwabne abażury. Na jednej ze ścian wisiała ikona w drewnianym kiocie, na pozostałych eksponowano broń myśliwską. Przytulności sali nadawał oryginalny kominek. Stał na nim zegar w oprawie dębowej, pokryty woskiem i metalowymi oksydowanymi gwoździami. Przed kominkiem znajdował się ekran w obramowaniu z gładkiej porcelany. Ozdobą sali była też karafka oraz duża waza z rysunkiem przedstawiającym polowanie, z pękiem wstawionych do niej trzcin. Przechowywano tutaj pięć albumów ze zdjęciami, ofiarowanych carowi w różnych okresach, także album z widokami Wilna. W sali eksponowano też dwa wypchane niedźwiedzie.

Z pokoju bilardowego, do którego przylegały nieduże pokoiki, prowadziły schody do piwnic, w której przechowywano wina. Jadwiga Imielanka w reportażu z Białowieży („Rodzina Polska" Nr 9/1928) podawała, jakoby w piwnicach pałacu było też parę oddzielnych pomieszczeń, gdzie „trzymano na więzi żywe wilki".

Piętro nad wschodnim skrzydłem pałacu zajmowały pokoje sypialne i łazienki cara, jego żony oraz salon porannych przyjęć, z którego można było wyjść na balkon od strony południowej. W przeciwległym skrzydle parterowym mieściły się pokoje dzieci pary carskiej, dam dworskich oraz tzw. okrągły salonik.

W carskim pokoju gościnnym meble, ściany i sufit zostały ozdobione angielskim perkalem. Na całej długości pokoju leżał ciemnoczerwony dywan perski. Pod ścianą stał fortepian z fabryki Beagitel, jego klawisze miały metalowe zdobienia. W księdze majątku ruchomego pałacu sprzed I wojny światowej odnotowano szerokość tych klawiszy, wynosiła ona 2 arszyny i 3/4 werszka. Na fortepianie stała niklowana podstawka do nut i dwa świeczniki. Całości obrazu dopełniał okrągły toczony taboret. Pod sufitem wisiało niklowane lustro z kryształowymi wisiorkami.

Gabinet następcy tronu upiększał olejny obraz „Widok pałacu", natomiast dworską komnatę „Czerwoną" – obrazy „Moniuszko" i „Suworow, przyjmujący klucze od Warszawy". Każdy z zamieszkiwanych pokoi posiadał ikony.

W pałacu przechowywano album z pięknymi litografiami, upamiętniający polowanie cara Aleksandra II w 1860 roku. W lutym 1904 roku do białowieskiej rezydencji trafiła też akwarela M. Zichego pt. „Mieszkańcy i uczestnicy polowania oczekują przybycia imperatora Aleksandra II do Białowieży", która do tego czasu znajdowała się w carskim pałacu myśliwskim w Lisino.

Zwiedzający w 1899 roku pałac Karol Karpowicz podaje w „Kalendarzu Myśliwskim" (Warszawa 1900), że w jego korytarzach widział porozwieszane fotografie z Puszczy, zrobione przez fotografa Edwarda Troczewskiego z Warszawy. Zwrócił także uwagę na pamiątkową podkowę, znalezioną w Puszczy przez Aleksandra III. Car kazał przybić ją na progu swego sypialnego pokoju, by przynosiła mu szczęście.

W pałacu było dużo roślin ozdobnych, w tym sporo egzotycznych. Większość pochodziła z pałacu Szwykowskich w Prużanie, który wraz z innymi dobrami został skonfiskowany, a właściciel udał się na emigrację do Belgii. Świeże storczyki dostarczał do rezydencji carskiej Żyd-ogrodnik Fryderyk Grunert, który prowadził hodowlę kwiatów w Białymstoku.

Zachodnią przybudówkę pałacu, połączoną z nim arką, stanowiły kuchnie, pokoje gospodarcze, spiżarnie oraz mieszkania głównego kuchmistrza i służby kuchennej.

W 1895 roku rozpoczęto zakładanie wokół pałacu parku w stylu angielskim, według projektu znanego polskiego planisty Walerego Kronenberga, który wygrał konkurs ogłoszony na ten park. Liczne drzewa wokół pałacu wysadzano z zastosowaniem specjalnej technologii. Zimą wykopywano drzewa razem z zamarzniętą glebą i przenoszono je do wcześniej przygotowanych dołów. Ogrodzenie parku przypominało wyglądem ogrodzenie Ogrodu Letniego w Sankt-Petersburgu.

Pałac położony był w bardzo malowniczym otoczeniu. Na północ od niego rozciągała się otwarta przestrzeń, z kępami drzew, przechodząca w chłopskie pola. Widok na południe był jeszcze bardziej malowniczy. Spadzisty stok, ciągnący się do doliny Narewki sprawiał wrażenie, że pałac wznosi się nad urwiskiem. Stromość nasypu przy samym pałacu została zabezpieczona nieobrobionymi kamieniami i obsadzona pnącą się roślinnością. U podnóża pałacu, w dolinie rzeki, wykopano dwa stawy, a ziemię z nich użyto do założenia ozdobnego ogrodu. Między stawami, którędy dawniej wiodła wąska, faszynowana droga ze starym drewnianym mostem przez rzekę, usypano solidną, szeroką groblę. Tędy można było dotrzeć do carskiej rampy kolejowej.

Stanowisko zarządcy pałacu i całego parku pałacowego pełnił początkowo Paweł Popow, a od kwietnia 1899 roku do wybuchu I wojny światowej Niemiec Otto Renke. Podlegało mu na początku około dwudziestu osób, a w końcowym okresie liczba ta wzrosła do pięćdziesięciu. Przed przyjazdem cara do pracy zatrudniano też okresowych pracowników. Starsi białowieżanie zapamiętali przejazdy zarządcy dwukółką z parku pałacowego do parku pułkowego (dzisiaj – Park Dyrekcyjny), w którym mieścił się Zarząd Puszczy. Dla obejrzenia całego osiedla pałacowego oraz pałacu, wymagane było specjalne pozwolenie. Po jego otrzymaniu dyżurujący dozorcy oprowadzali turystów po wszystkich obiektach pałacowych. Jednym z dozorców pałacu w tym okresie był Antoni Makarewicz.

Roczne utrzymanie pałacu kosztowało około 16 tys. rubli. *Cdn*

Piotr Bajko

Leon Moenke **Stawka o życie**

3. – Mamusiu! – wołało dziecko płaczliwym głosikiem, podniecone lamentem matki – tutaj codziennie dawano mi czerwone jabłuszko.

– Już powiedziałam wam, że w klinice mogą przebywać tylko chore dzieci. Obywatelko! Każę was stąd wyprowadzić. Przeszkadzacie w przyjmowaniu chorych! – odparła napastowana z desperacją, która przeszła w końcu w ton szorstki i opryskliwy. Poczem wzięła na rękę naszego malca i wyszła z poczekalni.

Lamentująca kobieta była żoną robotnika jednej z fabryk moskiewskich[1]. Gdyśmy, pozostawiwszy nasze dziecko, opuszczali gmach kliniki, kobieta ta wciąż siedziała w poczekalni, widać w nadziei, że jeszcze się uda przebłagać administrację szpitalną.

Niezwykle jakoś przejawia się miłość rodzicielska u mających pracę robotników sowieckich. Zamiast cieszyć się, iż dziecko wyzdrowiało, zamiast czym prędzej zabrać je, tuląc do siebie, ze łzami w głosie błagają o pozostawienie go chociażby jeszcze na dni kilka. Płaczą też i dzieci, żegnając się z obcym i nieprzytulnym, ale sytym szpitalem.

Nie mogłem zapomnieć o tej scenie. Dużo nędzy widziałem wśród bezrobotnych na Zachodzie. Widziałem „cyrki", domy noclegowe, lecz baraków takich, w których by w jednym lokalu razem, wspólnie, mieszkało 45 osób różnego wieku i płci – nie tylko nie widziałem, lecz nawet o nich nie słyszałem, nawet wśród tych pariasów, wśród tych „zbędnych", „nikomu nie potrzebnych" ludzi ustroju kapitalistycznego, jakimi są bezrobotni.

Na zachodzie najpodlejszy nawet kamienicznik nie odważy się dzieci bezrobotnego pozbawić ogniska domowego, gdyż w obronie ich stanie policja, którą wczoraj jeszcze na demonstracji obrzucał ojciec kamieniami.

„Kurier Wileński" nr 8, 9.01.1938 r., s. 5

Tu zaś, w państwie „dyktatury proletariatu", gdzie „zniszczono wszelki wyzysk człowieka", gdzie „zbudowano ustrój socjalistyczny", rodzina robotnika pracującego, tworzącego wartości dla całego społeczeństwa sowieckiego, żyje bez własnego kąta, a dzieci bez ogniska rodzinnego, tylko z dachem nad głową, jak bydlę w oborze.

Smutno mi było tego wieczora. W milczeniu i skupieniu wracaliśmy do domu, każdy zajęty swymi myślami: żona chorobą dziecka, ja zaś i chorobą, i tym również, co widziałem i słyszałem.

W uszach mych buczała zabroniona pieśń robotników sowieckich:

Za czto my boroliś,
Za czto my stradali,
Za czto my proliwali swoju krow...

Niech nie zrozumieją jednak mnie czytelnicy fałszywie. Nie wszyscy robotnicy sowieccy mieszkali ze swoimi rodzinami w takich warunkach. Bynajmniej. Mają oni (posiadający rodziny) przeważnie po jednym pokoju, a nieliczna arystokracja robotnicza – majstrowie cechów fabrycznych, prezesowie organizacji zawodowych itp. czasem i po 2-3 pokoje w budynkach fabrycznych.

Ale... czyż po to zrobiono rewolucję socjalną, aby arystokracja robotnicza miała 2-3 pokoje, które już posiadała przedtem, a zwykli robotnicy – baraki, o których przedtem nawet nie słyszeli?...

Kombinat Dziecięcy Akademii Wojskowej im. Frunze

Z trwogą, zrozumiałą obecnie dla czytelnika, oczekiwałem przyjazdu żony z Akademii. Lecz nowina przyszła pomyślna: „miejsce wolne, przyjmą nawet jutro, w dzień odpoczynku". Tak niebiurokratycznego podejścia do sprawy – przyjęcia w „wychodnoj dień" – nie oczekiwałem. Natychmiast udałem się do lekarki, by ją uprzedzić, iż jutro zabierzemy stamtąd naszego malca. – Proszę bardzo – odrzekła bez najmniejszego zdziwienia i jakiegokolwiek pytania, gdyż o naszym losie i decyzji rektora co do Jureczka była już poinformowana przez „Wydział Tajny".

Nazajutrz, 30 maja, wziąwszy z domu wyprawę Jureczka, udaliśmy się po niego do żłobka uniwersyteckiego.

Malec przywitał nas wybuchem radości. Nie mogłem go ubierać, tak mocno zawisł mi na szyi, tulił się i całował nas na przemian w policzki.

O losie! On sądził widocznie, iż znowu powraca do domu, do pieszczot i miłości naszej. Dziesięć dni przecież tylko spędził w nocnej grupie...

Gdy teraz, po trzech latach, wspominam o tym, to trudno mi jest pisać. Piszę z przerwami po każdym słowie, bo nie mogę inaczej...

Udałem się po dorożkę na Plac Teatralny, gdyż jechać z dzieckiem na drugi koniec Moskwy tramwajem nie uważaliśmy za wskazane ze względów sanitarnych.

Na placu stała jedna jedyna dorożka.

– Ile chcecie za kurs z Marosiejki na plac Zubowa? – spytałem..

– Czterdzieści kopiejek – odparł dorożkarz krótko.

– Bez żartów! Mówcie, ile żądacie?

– O jakich żartach obywatel gadasz? – Powiedziałem przecież wyraźnie: 40 kopiejek. Czyż rubel nie jest kopiejką? – zadał on ze swej strony pytanie.

Speszyłem się ze swej niedomyślności.

Powiada się: zaskoczył.

Było to stanowczo za drogo. Nie wiedziałem jednak, co

mam odpowiedzieć na ten dorożkarski kurs rubla sowieckiego, tak odmienną posiadał on wówczas realną siłę nabywczą u różnych kategoryj obywateli sowieckich (okres kartek, podzielni i trzech rodzajów cen: „normowanych”, „komercyjnych” i „rynkowych”). Dorożkarz zamknął mi po prostu usta, gdyż tego dnia nie wiedziałem jeszcze, iż za rubla torgsinowskiego (złoty) dają na czarnej giełdzie nie 100, lecz tylko 45 rubli sowieckich. Z braku argumentów milczałem, nie wiedząc, na co się zdecydować, a dorożkarz spokojnie, z góry, z triumfem spoglądał na moje widoczne całkiem zakłopotanie.

Wtem podjechała taksówka.

– Wolny? – spytałem.

– Tak – brzmiała odpowiedź – tylko zaopatrzę się w paliwo i smary.

Kolumna z benzyną stała właśnie w pobliżu.

„Kurier Wileński” nr 10, 11.01.1938 r., s. 5

Cdn

[1] Jaka to była fabryka nie pamiętam. Lecz baraki podobne nie były wcale rzadkością. Podczas czystki organizacji partyjnej Dworca Białoruskiego w Moskwie wyszło na jaw, iż taki sam barak istniał w obrębie tej organizacji. Lecz o dzieciach na „czystce” nie mówiono, jedynie o... przeciekającym dachu.

Васіль Петручук

Крышынкі

51*. *Успаміны сабачкі па клічцы Бурык. О, зноў да нас Сярожа ідзе. Ён вельмі любіць нас, пушыстых ды таўстаногіх, паглядзець і пацешыцца, бо кажа, што мы такія сімпатычныя і смешныя. Нас столькі, колькі мама мае ножак. Але аднойчы Сярожа прывёў нейкага, бадай свайго сябра, і пальцам паказваючы сказаў: „Выбірай якога хочаш, я аддам дарма, бо з іх ніякае карысці няма, адно толькі суку цягнуць...” – „А як жа я магу выбраць, – сказаў незнаёмы, – сука нават табе не дазваляе да іх дакрануцца, а мяне напэўна ўкусіць!” Бачыце, баіцца маёй, найпрыгажэйшай мамы, якая нас ліжа і малаком корміць! Праўду Сярожа кажа, што мы яе „цягнем”, і яна зрабілася вельмі худая, бо нас корміць малаком, а сама з чарапка п’е ваду... Я аднойчы ўсадзіў носік, каб пакаштаваць што гэта такое, то аж злякаўся, бо вада была такой халоднай. Часам хтосьці ўкіне кавалачак хлеба або бульбіну, але маме гэта -- як муха. Яна на ланцугу і не можа сабе ежы пашукаць недзе пад хлявом або ў садочку. Часам пішчыць і хвастом віляе, калі нехта са сваіх ідзе побач, ды аблізваецца. Але ніхто пра яе не дбае, а яна нас корміць і ліжа.

Мы з нашай мамай жывем пад саламяным дашочкам у куточку паміж сцяной клуні і плотам, дзе ляжыць памятая салома і мы ў ёй гнездзімся. Калі холадна, а нам без дзвярэй і без вакон холадна заўсёды, і дождж забівае, то мы ціснемся адзін да аднаго, а ўсе разам – да мамы. Носікамі праціскаемся ў сярэдзіну, каб папасці пад спод і прыкрыцца целамі. Мы ўсе гэтага хочам і мабыць кішым поўзаючы, а мама папісквае і лягае, каб нас прытуліць да сябе. Прыціскае нас да свайго цёплага жывата, найбліжэйшага з нас час ад часу лізне і кладзе на ім сваю бедную, разумную галоўку. А мы крышку паляжаўшы, зноў шукаем кожны сваёй ціці. Выпіўшы сваю порцыю свежанькага, цёплага малачка, засынаем, бы тыя чалавечыя дзеці, якія ядуць столькі колькі хочуць і п’юць калі хочуць...

Нам было добра з мамай, бо хаця яна была прывязаная да сцяны нейкім жалезам, але пра нас дбала. Я цяпер ужо ведаю, што гэта быў пракляты ланцуг, але тады мне было ўсё роўна, абы толькі насмактацца і прытуліцца да цёпленькага жывата мамы, перахітрыўшы іншых.

Мы часам распаўзаліся па прагуменні, каб убачыць свет шырэйшы чым куточак паміж плотам і пуняй ды панюхаць чагосьці духмянага, што часам далятала да нашых сабачых носікаў – тады мама нервавалася і клікала нас сваім дарагім голасам; яна баялася, што нас нехта ўкрадзе або певень нас падзюбае. Мой брацік, той лысы вырадак, быў найгоршым непаслухмянцам. Заўсёды ўцякаў ад мамы і ганяўся за кураняткамі. Тады было цёпленька і весела нам, аж хацелася і мне за ім паганяцца. Але я бачыў, што мама нервуецца, дык шкадаваў яе і слухаўся. Смешна было на яго глядзець, бо ганяючыся за куркаю перакідаўся, але яму здавалася, што вось-вось цапне яе за хвост. Аднойчы нарваўся на квактуху, якая не менш ад нашае мамы пільнавала сваіх дзетак, водзячы сваіх жоўценькіх, пушыстых, хоць брыдчэйшых за нас куранятак. Падскочыў да яе, каб налякаць, а тая дзеўбанула яго між вачэй так, што мусіць забалеў яму лобік, бо заенчыў і пагнаўся да мамы па ратунак. Мама лізнула яго, але болей не магла нічога зрабіць. Лёг ён салому і толькі прыглядаўся здалёк на якуюсь страшную ведзьму, што ходзіць з растапыранымі крыламі, квокча і нікога не баіцца. Больш ужо за куркамі мой брат не ганяўся.

Праз нейкі час прыйшла чарга і на мяне, хаця нас у мамы была яшчэ парка – я і маленькая сястрычка. Мо нас і не па чарзе аддавалі чужым людзям, а толькі хто каго з нас выбіраў. Але прыйшоў нехта такі, які выбраў мяне, быццам ужо не было

каго яму выбіраць?! Сярожа спярша даткнуў маю сястрычку і спытаўся: „Гэтае?" – „Не – адказаў пакупнік, – давай мне гэтага падпалянага чорта". Тады Сярожа ўзяў мяне пад жывоцік, пасадзіў на другую руку і вынес з-пад дашка.

Мая мама наставіла вушы і сумна глядзела на мяне, а я заплакаў і з усёй сілы стаў вырывацца з рук чужынца. Мама пачала скакаць на ланцугу і рвацца, каб мяне адабраць з рук якагасьці ворага, што прыйшоў адабраць у яе перадапошняе дзіця. Я ўжо не толькі вырываўся і плакаў, а пачаў грызці зубамі Сярожавага знаёмага, бо мне было вельмі шкада пакідаць маму. А яна, бедная, быццам ведала, што забяруць мяне ад яе назаўсёды, як чалавечых дзяцей на вайну, і ўжо ніколі мяне не ўбачыць. Але наш Сярожа з чужынцам не звярталі ўвагі на наша гора і пачалі аддаляцца ад пуні, ад маёй мамы і сястры. Сярожа аддаў мяне чалавеку, у якога былі халодныя рукі. Той ужо са злосцю прыціснуў мяне да свайго смярдзючага пінжака, ды так моцна, што мне заняло дых. Я яшчэ ўбачыў маму, як стаяла на дзвюх нагах на напружаным ланцугу і працяжна плакала. Чужы чалавек адносіў мяне ўсё далей і далей ад нашага панадворка і гаварыў да мяне злосна: „Нэ вырывайся, сучы сыну, бо і так нэ вырвэшся!". Я замаўчаў, але падумаў: „Пачакай!". І яшчэ падумаў: „Куды ён мяне нясе, і чаму побач не ідзе Сярожа, які так лёгка нас пазбывацца і крыўдзіць маю маму, якая сцеражэ ягонай пуні і падворка". Мне стала страшна, але відавочна такі лёс усіх сабак, якія нараджаюцца і гаруюць у дрэнных сялян.

Занёс мяне дахаты, а там поўна дзяцей і жанчын. У нейкім тунелі – цяпер я ведаю, што гэта печ – балахтала полымя і валіў густы дым, а я баяўся. Але хутка маю ўвагу ад гэтага страшнага адвярнулі дзеці: пачылі мяне вырываць адно ў аднаго з рук, а я толькі стагнаў і не ведаў, што ў такім выпадку трэба рабіць – паддацца, ці кусацца? Пасля найбольшы з іх байбак, той, што прынёс мяне, загадаў каб мяне пусцілі на падлогу. Калі я на ёй апынуўся, падумаў, што трэба хутчэй уцякаць пад ложак. Але той байбак схапіў мяне за каўнер, пасадзіў на калені і стаў ціснуць за пыску, каб я яе разявіў... Мне вельмі не хацелася быць паслушным, але не меў сілы супрацьстаяць. Сам пыскі не разявіў, мне яе расшчамілі і крыкнулі: „У-гу-гу! Але ж у яго чорны рот! Будзе злосны як у Антонія!" Я не ведаў, добра гэта ці дрэнна, бо малы сабачка толкам нічога не ведае. А той мяне зноў паставіў на падлозе. Дзеці кінуліся да мяне з крыклівай уцехай, каб праверыць, ці я сапраўды злосны, ці не. Пачалі мяне рваць за вушы і цягаць за хвост. Мяне гэта знервавала і я стаў уцякаць пад стол. Калі яны мяне сталі выцягваць з-пад стала за хвост, я стаў брахаць і хапаць зубамі за рукі. Але гэта іх толькі рассмяшыла і падбадзёрыла. Рвалі мяне за вушы і прытвараліся, што мяне баяцца – вішчалі. Той, што мяне прынёс і ведзьма з вілкамі ля печкі прыглядаліся гульні са мною сваіх шчанят і таксама цешыліся маім няшчасцем. Не далі мне, чужому сабачку, якога самі забралі ад яго мамы, нават панюхаць ножак стала, веніка ці чагосьці іншага, што я пабачыў упершыню, а толькі пасля даведаўся, што гэта такое, і коціка, які прыглядаўся да мяне бадай са страхам або думаў з уцехай: „Добра табе так, чаго прыйшоў да нас?!" А павінны госцю адразу наліць малака і папрасіць, каб ён еў, а не рваць яго за хвосцік і вушы...

(Працяг будзе)

Успаміны з 1975 г.

1 студзеня выйшла пастанова ўлады аб будове кар'ера бурага вугля ля Белхатава і аб будове новай электрастанцыі „Белхатаў" з катламі BB-1150 на буры вугаль і генератарамі GTHW 360, магутнасці 360 мегаватаў. Хутка „Энергапраект пачаў праектаваць гэту элекрастанцыю і я таксама пачаў праектаваць у ёй аўтаматыку блокаў, рэлейную ахову, аўтаматыку падачы канвеерамі бурага вугля да катлоў і іншую аўтаматыку. Элекрастанцыя „Белхатаў" цяпер з'яўляецца самай вялікай у Еўропе электастанцыяй магутнасці 4440 мегаватаў з 12 блокамі, якія пасля мадэрнізацыі маюць кожны 370 мегаватаў магутнасці. Першы блок у Белхатаве пачаў працаваць, калі ў Польшчы было ваеннае становішча, 29 снежня 1981 г. Я быў яшчэ пры сінхранізацыі 7-мага блока, 12 снежня 1985 г., а пасля выслалі мяне ў Індыю на электрастанцыю Бакара. Астатні 12 блок сінхранізавалі 24 жніўня 1988 г., калі я яўчэ працаваў у Індыі, ды я яшчэ, калі вярнуўся перад пенсіяй, праектаваў аўтаматыку ачысткі з серы з дыму ў электрастанцыі Белхатаў. Электрастанцыя спальвае 36 мільёнаў тон бурага вугля ў год і трэба чысціць дым з яе камінаў не толькі з попелу і з серы, але і з іншых шкодных для здароўя рэчываў.

Пасля 2004 г. пачалі праектаваць Электрастанцыю Белхатаў II. За 850 млн. еўра французская фірма Alstrom Power Centrales з іншымі фірмамі пачалі праектаваць і будаваць у 2004 годзе электрастанцыю з блокам магутнасці 858 мегаватаў у Белхатаве II, у Рагоўцу. Некалькі раз змянялі тэрміны заканчэння будовы. Астатні тэрмін заканчэння будовы меў быць у першым квартале 2011 г.. Аднак першую сінхрані-

зацыю блока з электрычнай сеткай зрабілі толькі 10 чэрвеня 2011 г., а пасля перапынку другую сінхранізацыю правялі 28 чэрвеня 2011 г.

Я хадзіў ад сапага пачатку 1975 г. на лекцыі гідаў замежных экскурсій кожную суботу і нядзелю і ў чэрвені я здаў экзамены з усіх прадметаў і стаў гідам замежных экскурсій, ды ў 1975 годзе я не меў часу заняцца экскурсіямі і адлажыў усё на наступны год.

4 студзеня пастановай канферэнцыі рабочага самакіравання атрымаў я за праекты электрастанцый Конін, Адамуў і Понтнуў ганаровы медаль заслужанага для Комплексу Электрастанцый Понтнуў-Адамуў-Конін.

У В'етнаме пачалося наступленне партызан і войск Паўночнага В'етнама і яны ўжо 4 студзеня занялі правінцыю Фуакбіны, 30 сакавіка горад Дананг, а 30 красавіка Сайгон і вайна закончылася. ЗША раней забралі з В'етнама сваіх салдат, вайну прайгралі.

21 студзеня падалі, што ў Варшаве аддалі ў карыстанне жыхароў мільённую кааператыўную кватэру. Колькі было збудаваных дзяржаўных кватэр – не напісалі.

4 лютага ад землятрусу ў Кітаі згінула 2041 людзей, а 27 538 было параненых.

У сакавіку сябра з бюро, які жыў у Прушкове, паведаміў, што ў магазіне ў Прушкове прадаюцца аўтаматычныя пральныя машыны „Поляр" па 10 500 зл. кожная. У Варшаве іх хутка разбіралі, а ў Прушкове людзі былі бяднейшыя і нас тры асобы з Энергапраекта пехалі ў Прушкаў і іх купілі. Нанялі мы машыну і прывязлі тры аўтаматычныя пральныя машыны ў Варшаву па адной для кожнага. Пачаткова я паставіў яе ў кухні, бо ў ванным пакоі не было месца. Пасля замяніў ванну на меншую і перанёс яе ў ванны пакой. Якраз добра зрабіў, бо жанчына Шымчакова, якая нам мыла бялізну, памерла і яе цяпер замяніла аўтаматычная пральная машына. Яна ў мяне працавала доўгі час, пакуль не замяніў яе на заграчічную пральную машыну, якая не толькі мые бялізну, а пасля мыцця яе сушыць.

1 чэрвеня ў Польшчы зліквідавалі паветы і стварылі 49 ваяводстваў. Для многіх гарадоў, як Конін ці Астралэнка, прынесла гэта карысць, змянілі яны свае аблічча, аднак страцілі гарады, якія былі павятовымі і не сталі ваяводскімі.

10-13 сакавіка наведаў Польшчу прэзідэнт Югаславіі Броз Ціта, 7-20 чэрвеня прэзідэнт Францыі В. Жыскар Д'Эстэн, а 28-29 чэрвеня прэзідэнт ЗША Дж. Форд.

Я далей праектаваў аўтаматыку ў электрастанцыі Казеніцэ, часта туды ездзіў на аўтарскі нагляд і там ужо быў амаль гатовы да эксплуатацыі 8-мы блок 200 мегаватаў.

8 чэрвеня ноччу з Гданьскага вакзала ад'ехаў я з жонкай Нінай і дачкой Ірэнай у спальным вагоне цягнікам цэраз Гродна ў Ленінград на запрашэнне Таццяны Фармакоўскай і яе дачкі Алены. Прыехалі мы туды ранкам 10 чэрвеня. Яны нас там сустрэлі і забралі ў таксі на Канюшны перавулак, дзе яны жылі. Мы гасцявалі там да 28 чэрвеня, пабачылі Пэтэргоф з яго фантанамі, якія былі ўжо ўсе адноўленыя, пасля знішчэння немцамі ў час акупацыі, і Паўлаўск разам з паркам. Я быў у Пэтэргофе ў 1953 г., ды тады ён яшчэ быў знішчаны немцамі. Яны ўсё золата з пазалочаных элементаў фігур саскраблі, – выглядала, быццам яны іх зубамі грызлі. Цяпер усё зноў блішчэла пазалотай. Працавалі ўсе фантаны, нават фантаны-неспадзяванкі, тыя, якія аблівалі неспадзявана людзей вадой, калі яны пад іх падышлі, і фантаны-дрэвы (калі хто стане пад гэтым дрэвам, з яго пальцца на яго вада) ці фантаны пад лаўкамі – калі хто сядзе на гэтую лаўку, знізу яго абальле фантан вады.

Палац у Паўлаўску і навокал яго парк ужо выглядаў, як перад вайной. Немцам не ўдалося яго разбурыць, хаця доўга было ў ім відаць сляды іх акупацыі.

Сын Юра астаўся дома з маткай Ніны, бо рашыў паехаць у Ленінград у ліпені адзін, калі мы будзем дома, каб пабачыць белыя ночы. Мы таксама іх бачылі ў чэрвені. Мы вярнуліся дамоў 29 чэрвеня, а Юра паехаў праз тры дня пасля нашага вяртання дамоў.

Дачка закончыла ліцэй з вельмі добрымі ацэнкамі і здала ўступныя экзамены ў Цэнтральную школы планавання і статыстыкі (SGPiS, цяпер SGH) і была прынята на першы курс гэтай вышэйшай школы.

Нас запрашала даўно да сябе сваячка з боку маткі маёй жонкі Ніны, Таццяна Яршова, унучка рускага царскага контр-адмірала Анатолія Конанава (1856-1944), які ў 1919-20 гг. ваяваў з бальшавікамі. Жонка контр-адмірала Анатолія Конанава Вера была роднай сястрой дзеда Ніны, царскага генерала Міхала Чэкмарова, сына Івана. Контр-адмірал А. Конанаў з сям'ёй і матка Ніны з сёстрамі, дочкамі Міхала Чэкмарова, які памёр у 1918 г, і сям'ёй брата Міхала, царскага генерала Віктара Чэкмарова (1861-1939), які ў арміі Врангеля на Крыме ваяваў з бальшавікамі, мелі невялікія маёнткі на Валыні ў вёсцы Паліцы Ровенскай вобласці і да верасня 1939 г. там жылі. Тады Таццяна Нялідава, дачка Аляксея Конанава (1889-1975) была жонкай Дзмітрыя Нялідава, з ім жыла у аддзельным доме і там радзіла сына Дзмітрыя. Аднак муж яе Д. Нялідаў у 1933 г. памёр ад тыфа і Таццяна асталася там удавой. Калі пад канец верасня 1939 г. прыйшла туды Чырвоная Армія, то і Таццяну з сынам і яе бацьку Аляксея, яе дзеда контр-адмірала Анатолія Конанава з жонкай Верай і ген. Віктара Чэкмарова з жонкай Апалінарыяй (якая была сястрой контр-адмірала Анатолія Конанова) выгналі з іх маёнткаў, ды яшчэ не паспелі арыштаваць. Яны на нейкі час затрымаліся ў Сарнах

у сваяка Васіля Некрашэвіча, дзе 10 кастрычніка генерал-лейтэнант Віктар Чэкмароў памёр і быў пахаваны ў Сарнах. Тады яны ўсе за намовай дачкі ген. Віктара, Наталлі, якая прыехала да бацькоў з Югаславіі, паехалі ў яшчэ вольную Літву ў Вільню, калі даведаліся, што І. Сталін аддаў Вільню Літве. Адтуль яны пазванілі па тэлефоне ў Бялград прафесару Уладзіміру Фармакоўскаму, мужу сястры Наталіі Надзеі і ён хутка вырабіў ім пашпарты і візы ў Югаславію. Тады Югаславія яшчэ была свабодная. Яны праз акупіраваную немцамі Польшчу, Славакію і Венгрыю прыехалі ў Бялград.

У Поліцах мела свой дом і маёнтак таксама дачка Анатолія Конанава Вера, якая была жонкай украінскага палкоўніка ў арміі Петлюры, Міхала Ханенка. Дзяцей у іх не было. Аднак яна паехала ў сакавіку 1939 г. лячыць свайго мужа ў Варшаву і там заспела яе вайна. Муж яе памёр у Варшаве і пахавалі яго на могілках на Волі. Да ліпеня 1941 г. яна жыла ў Варшаве і калі немцы занялі Валынь, яна вярнулася ў свой маёнтак і кіравала там з дапамогай Любы Некрашэвіч, якой бацьку Васіля савецкае НКУС вывезла ў 1941 г. у Казахстан, амаль да канца 1943 г. усімі маёнткамі астаўленымі Конанавымі, Чэкмаровымі і Некрашэвічам, а пасля з Любай уцякла пад Варшаву. У 1944 г. бацька маёй жонкі Васіль Кандыба сустрэў Веру Ханенка на вуліцы ў Варшаве і яна яму сказала, што яна жыве ў Аніне каля Варшавы і што нямецкі афіцэр застрэліў Любу Некрашэвіч, бо падазраваў яе, што яна мае сувязі з польскім падполлем. Вера Ханенка з Варшавы ўцякла ў Францыю ў Парыж да свайго брата Івана Анатольевіча Конанава.

Удава Таццяна з сынам Дзмітрыем, бацькам Аляксеем, дзедам Анатоліем і яго жонкай Верай жылі ў Бялградзе яшчэ тады, калі немцы акупіравалі Югаславію. Аднак жонка Анатолія Конанава Вера памерла ў Бялградзе 21 ліпеня 1941 г. Тады Анатолій Конанаў рашыў выехаць у Францыю, дзе жыў яго родны старэйшы сын віцэ-адмірал Іван Конанаў (1886-1959), які таксама ваяваў з бальшавікамі ў 1919-20 гг. і пасля не захацеў жыць з бацькам у Польшчы і выехаў у Парыж і там жыў яшчэ ў час акупацыі немцамі Францыі. І немцы дазволілі ў 1942 г. выехаць з Бялграда ў Францыю Анатолію Конанаву, яго малодшаму сыну Аляксею, унучцы Таццяне Нялідавай з сынам Дзмітрыем. Анатолій Конанаў памёр у Францыі ў 1944 г., а Таццяна Нялідава паехала з сынам і бацькам у Парыж да дзядзькі Івана Конанава і там пасля вызвалення Францыі ад немцаў сустрэла сваю цётку Веру Ханенка, якая прыехала з Варшавы. Пасля яна выйшла замуж у Парыжы за рускага эмігранта Івана Яршова і яны, пасля смерці яе дзядзькі Івана Конанава і цёткі Веры Ханенка, купілі ферму недалёка Альбі ў вёсцы Брус, на поўдні Францыі, дзе ў 1975 г. жылі. Жыў разам з Таццянай яе родны бацька Аляксей, а сын Дзмітрый узяў за жонку фрацужанку, стаматолага Моніку і жыў з ёй у Альбі. Таццяна з Іванам Яршовым нарадзіла ў Брус дачку Алену і сына Юру.

Біяграфію Анатолія Аляксеевіча Кононова і яго сына Івана Анатольевіча Конанова і нават малодшага сына Аляксея, які быў толькі царскім афіцэрам, лёгка можна знайсці ў рускім інтэрнэце на google, трэба толькі рускімі літарамі напісаць іх імёны, іх імёны па бацьку і прозвішчы. Царскі віцэ-адмірал Іван Анатольевіч Конанаў выдаў у Парыжы кнігу „Путь к Голгофе русского флота (исторический очерк) и морские рассказы” і пісаў многа апавяданняў і ўспамінаў у рускіх журналах на захадзе Еўропы і ў ЗША.

Яны нас даўно запрашалі прыехаць у Брус. І вось мы рашылі да іх паехаць. Пашпарты нам міліцыя дала, бо мы мелі ў банку на рахунку долары, аднак я выступіў у банк, каб прызналі дачцэ Іры права абмяняць па дзяржаўным курсе польскія злоты на французскія франкі на білет у Альбі. І пачаткова мне адмовілі. Калі я ім другі раз напісаў, што дачку прынялі на ВНУ і за гэта яе запрашаюць прыехаць у Францыю, і вельмі будуць расчараваныя, калі даведаюцца, што польскія ўлады не дазволілі ёй абмяняць валюты каб паехаць да іх у Францыю, прыйшла згода. Я абмяняў нейкую суму польскіх злотых на франкі. І мы выкупілі білеты на цягнік на 31 ліпеня з Варшавы ў Альбі праз Парыж у купэ з ляжачымі ноччу месцамі. З Варшавы выехалі мы рана ўдзень, у купэ былі мы самі да Вроцлава, дзе ўвайшла да нас маладая дзяўчына, год 20, якая таксама ехала ў Парыж. Яна мела ў Парыжы адрас польскіх каталіцкіх манашак, якія прымаюць жанчын на начлег за невялікую плату. На ноч мы леглі спаць на полках: Ніна з Ірэнай на дзвюх ніжніх полках, а я з новай дзяўчынай на дзвюх верхніх. Ехалі мы праз Дрэздэн у ГДР і ноччу ўехалі мы у БДР. Ноччу будзілі нас нямецкія пагранічнікі і мытнікі, якія толькі казалі паказаць ім нашы пашпарты. У наш багаж не заглядвалі. На нямецка-французскай граніцы перад Страсбургам прыйшоў да нас толькі немец і паставіў у пашпарце пячатку, французскі пагранічнік і мытнік да нашага купэ не заглянулі. Стала ўжо відна і мы сышлі з верхніх полак. У час нашай язды мы елі толькі ежу, якую ўзялі з сабою. Дзесь перад поўднем прыехалі мы на паўночны парыжскі вакзал. Мы выйшлі на перон і не ведалі куды далей ісці. Падышоў да нас багажны насільшчык, пабачыўшы што мы з усходу ён запытаўся ў нас на ўкраінскай мове, куды мы хочам ісці. Ніна ў Варшаве ўзяла была ад сваёй знаёмай адрас яе нейкай сяброўкі, жанчыны, якая працавала ў гасцініцы ў Парыжы. Ніна яму паказала гэты адрас і ён параіў нам, каб мы аставілі наш багаж у багаж-

ныя скрынкі, якія стаяць на вакзале, закрылі іх і ключы забралі з сабой і падаў нам нумары ліній парыжскага метро, якімі маглі б мы даехаць і да манашак, дзе хацела спыніцца знаёмая дзяўчына, і да гасцініцы, да якой мае адрас Ніна. Квіткі ў метро купілі мы ў кіёску з газетамі і паехалі спачатку да манашак з дзяўчынай. Знайшлі мы дом у якім жылі польскія манашкі і яны згадзіліся прыняць нашу знаёмую дзяўчыну, сказалі, што маглі б прыняць таксама Ірэну і маю жонку, ды мяне, мужчыну прыняць не могуць, бо ў іх жывуць толькі адны жанчыны.

Аставілі мы з манашкамі дзяўчыну, а самі паехалі шукаць гасцініцу з жанчынай, якой мы мелі адрас. Яна працавала ў гасцініцы на вуліцы Віктара Гюго, недалёка пляцу Этуаль, дзе стаіць вядомая трыумфальная арка. Мы яе знайшлі, яна нас завяла ў кавярню, паставіла кофе ды сказала нам, што ў гасцініцу, дзе яна працуе, прыняць нас не можа, бо баіцца, а яе гасцініца вельмі дарагая. Мы выйшлі неспадзявана на вуліцу Каперніка і там заўважылі невялікую гасцініцу. Мы ўвайшлі да яе і там дагаварыліся на нямецкай мове, каб нам далі пакой на дзве асобы і абяцалі даставіць трэці ложак для Ірэны. І мы затрымаліся ў гасцініцы „Д'Англетэр" на вуліцы Каперніка 21. Тады мы паехалі на вакзал, забралі наш багаж і прывезлі яго ў гасцініцу.У гасцініцы прыгатовілі мы гарбату, наеліся, напіліся і паехалі да манашак і забралі дзяўчыну, каб разам з ёй аглядаць горад. Дзяўчына прасіла, каб мы да яе прыехалі, бо сама яна баялася гуляць па горадзе. Я ў метро атрымаў карту ўсіх ліній парыжскага метро і з гэтай картай пачалі мы ездзіць і аглядаць горад. Наведалі мы кафедру Нотр-Дам, Палац Правасуддзя, пляц Бастыліі, Елісейскі палац і Елісейскія палі, пляц Пігаль з эратычнімі секс-крамамі, кіна-тэатры з секс-фільмамі і з прастытуткамі на вуліцы, тэатр-кабарэ Мулен-Руж (Чырвоны Млын) з каляровым млыном на будынку на бульвары Клішы, Монмартр з прыгожай белай каталіцкай базілікай Сакрэ-Кёр (Святога Сэрца), вежу Эйфеля на Марсавым полі і іншыя месцы. У Мулен-Руж тады былі павешаныя рэкламы, што будзе вечарам выступаць нейкі казацкі ансамбль. Былі здымкі артыстаў гэтага ансамбля ў час іх танцаў...

На наступны дзень ужо без дзяўчыны з Вроцлава пайшлі мы ў праваслаўны сабор Аляксандра Неўскага на ру Дару 12, які быў недалёка ад нашай гасцініцы; там было траурнае набажэнства па памерлым. Мы там пазнаёміліся з царкоўным старастам гэтай царквы рускім царскім калісь маладым афіцэрам, які ўцёк ад бальшавікоў і жыў у будынку ля царквы. Ён нам многа памог, бо сказаў, на які вакзал і на які цягнік маем папасці, каб даехаць у Альбі. Пасля абеду мы яшчэ паехалі пагледзець Версальскі пляц і агарод ды выслалі паштоўку ў Брус, калі мы будзем у Альбі.

У нядзелю 3-жніўня ранкам мы пайшлі ў Луўр, бо ў нядзелю уваход у музей быў бясплатны. Было многа людзей, аглядзелі мы скульптуры і палотны многіх мастакоў і ў шафе за шклом карціну Джаконды Леанарда да Вінчы. Аб нейкіх пабачаных мною ў Луўры палотнах жанчын я пасля напісаў верш „Жанчыны з Луўра", які ўвайшоў у мой зборнік вершаў „Эцюды падарожжа". Пасля абеда мы яшчэ пагулялі па Парыжы, а вечарам паехалі на вакзал, цягнік у Тулузу праз Альбі ўжо стаяў і мы занялі месцы.

У нашым купэ акрамя нас нікога не было, так што пасля візіту кандуктара мы маглі спаць да ранку. Калі стала відна, мы пачалі разглядваць паўднёвы пейзаж Францыі. Дамы ўсе былі памаляваныя на светлыя прыемныя колеры. Перад поўднем даехалі мы да Альбі і выйшлі з багажом. Падышоў да нас сын Тацяны Яршовай Юра і сардэчна з намі прывітаўся ды забраў нас у сваю машыну, якою павёз нас кіламетраў 30 у вёску Брус на іх ферму. Ён ведаў добра рускую мову. На ферме сустрэлі нас Таццяна і яе муж Вяня. У іх было тры дамы, адзін ля другога, адзін быў пусты і туды нас пасялілі, у другім пабач яны жылі з сынам.У трэцім доме на другім паверсе жыў бацька Таццяны, Аляксей Конанаў. Чацвёрты дом з чырвонай цэглы - - іх дачкі Алены, якая ўжо выйшла замуж за француза Роберта Рабіно, стаяў метраў сто ад іх дома. У іх дачкі Алены былі ўжо дзеці: дачка Кацярына і двух яшчэ малых сыноў: Іван, якога называлі Жано і трохгадовы Сцяпан. Пасля нашага выезда Алена нарадзіла яшчэ дачку Карыну.

Таццяна з Іванам паказалі нам сваю ферму, на каторай гадавалі больш чым 30 кароў. Даіў іх электрычны даільны апарат і малако плыло па трубках у халадзільны бак у якім падтрымлівалася тэмпература 4 ^{0}С. Кожны ранак прыязджаў з горада да іх аўта-бак, які забіраў з бака малако і мыў бак. Каровы пасвіліся на абгарожаным лузе, луг быў агароджаны „электрычным пастухом", а даіць кароў заганялі ў хлеў. Мелі яны сваю зямлю, гектараў 35, на каторай рос вінаград і кармавыя травы для кароў, пшаніца. Поблізу дамоў у клетках гадавалі трусоў. Мелі яны свой трактар і іншыя сельскагаспадарчыя машыны. Бацька Таццяны, Аляксей Конанаў, які ўжо меў 86 год, і жыў у аддзельным доме на другім паверсе, ужо не выходзіў з дому і маю жонку Ніну, якую да верасня 1939 г. часта сустракаў, калі прыязджаў з Поліц у Сарны на Валыні, цяпер не толькі не пазнаў, а нават не помніў, што быў калісь у Сарнах. Калі мы выехалі з Францыі, то даведаліся з пісем, што ён 25 кастрычніка памёр.

У іх хаце быў збудаваны вялікі бак, у якім з вінаграда рабілася кіслае віно, якое кожны дзень да ежы

з крана з баку налівалі ў літровую бутэльку і падавалі на стол. Была аўтаматычная пральная машына і вялікі халадзільнік і каляровы тэлевізар.

На вячэру запрасіла нас да сябе Алена. У іх быў двухпавярховы дом з усімі выгадамі, з пяццю пакоямі, кухняй, з ванным пакоем і туалетам. Дзяржава ім дала пасля шлюбу пазыку на дом і пры кожным народжаным дзіцяці памяншала выплату пазыкі.

З імі правялі мы два тыдні. Вазілі нас у Альбі, Тулузу, да блізкіх пячор і мясцовасцей.

У Альбі жыў першы сын Тацяны, Дзіма Нялідаў, які нарадзіўся яшчэ ў Поліцах у Польшчы, а ў Францыі служыў у арміі як французскі афіцэр, у Алжыры, а цяпер з жонкаю меў вялікі дом, машыну, матацыклы, коні і двух сыноў: Пятра і Філіпа. Ён таксама запрасіў нас да сябе на абед. Ён, Юра і Алена вельмі добра ведалі рускую мову, а муж Алены і жонка Дзмітрыя і дзеці іх толькі французскую. Да іх таксама, як на нашыя вёскі цяпер, два разы на тыдзень праязджаў самаход-крама пад іх дом з рознымі прадуктамі да ежы і яны ў іх што хацелі, то куплялі. Яны былі застрахаваныя на выпадак хваробы, плацілі нейкую суму ў месяц, і маглі пайсці прыватна да кожнага лекара, бралі рахунак ад лекара і пасля ім звярталі тую суму грошай, якую яны заплацілі і за лекара, і за лякарствы. Калі пасля нашага выезда Ваня папаў у бальніцу ў Альбі, то меў аддзельны пакой у бальніцы з двума ложкамі, з тэлевізарам і ванным пакоем, каб магла у ім начаваць, калі захоча, яго жонка, сын ці дачка.

Юра пачаў заляцацца да маёй дачкі Ірэны і ён ёй спадабаўся, і яна хацела астацца ва Францыі, ды я ёй не дазволіў пакуль яна не закончыць ВНУ. Калі мы вярталіся, то ў вагоне Ірэна была ўвесь час смутная, ды пасля супакоілася. Прыехалі мы ў Парыж ранкам, аставілі багаж на вакзале ў багажных скрынках, паехалі ў царкву, пабачыліся зноў са знаёмым старастам, паездзілі па горадзе і вечарам селі ў цягнік Парыж- Варшава. Ехалі мы ноч і амаль цэлы дзень і вечарам прыехалі ў Варшаву, дзе сустрэў нас вялікі лівень на вакзале. Праз паўгадзіны ўдалося знайсці таксі і прыехаць дамоў.

Мы пайшлі працаваць у нашы бюро, а дзеці вучыцца ў сваіх ВНУ. Помню, як 21 верасня, калі я ішоў у банк, то пабачыў вялікі пажар у Дзіцячым універмагу ля вуліц Кручай і Ерусалімскіх алей. 5 снежня аддалі ў эксплуатацыю Цэнтральны вакзал у Варшаве. Тады новы Цэнтральны вакзал лічыўся сучасным вакзалам з экскаватарамі ля перонаў, з вялікай білетнай залай, з мармурамі. Цяпер яго хочуць разабраць, каб там паставіць нейкі блок.

17 ліпеня амерыканскі касмічны карабель „Апалон" 18 злучыўся з савецкім „Саюзам" 19. Гэта быў супольны касмічны эксперымент.

8 жніўня прарвалася ў Кітаі галоўная плаціна, а пасля іншыя меншыя плаціны і згінула 26 тысяч асоб.

Помню таксама, што быў шум у тэлебачанні, калі савецкі дэсідэнт і акадэмік Андрэй Сахараў 9 кастрычніка атрымаў Нобелеўскую прэмію міра, а 20 лістапада ў Іспаніі памёр дыктатар генерал Франка і Іспанія стала манархіяй з каралём Хуанам Карласам.

У Польшчы ў 1975 г. 330 800 пар узяло шлюб – найбольш у год ад канца вайны.

У гэтым годзе выйшлі два зборніка вершаў беларускіх паэтаў Беласточчыны: Віктара Шведа „Дзяцінства прыстань" і Аляксандра Барскага „Мой бераг" у Мінску. Гэта быў другі зборнік вершаў В. Шведа і трэці А. Барскага.

* * *

Пасля нашага выезду ў 1982 г. памёр Іван Яршоў і ў 2006 г. яго жонка Тацціяна, маючы 92 гады. У гэтым годзе мы атрымалі пісьмо ад Дзмітрыя Нялідава, што ў верасні 2011 г. нечакана памёр муж Алены, Роберт Рабіно. Алена стала ўдавой. Сыны яе ўсе ажэнены, а яе дочкі выйшлі замуж і Алена мае ўнукаў. Таксама сыны Дзмітрыя Нялідава ўсе ажэнены і Дзмітрый мае ўнукаў, а жонка яго Моніка памерла ў маі 2007 г. Юра Яршоў ажаніўся з француженкай Марыяй, выехаў з ёй на поўдзень Францыі, мае там сваю фірму, жыве недалёка ад порта Марсель ля Міжземнага мора, дзяцей не мае.

Дзмітрый Шатыловіч

Слонімскімі сцежкамі Валянціна Таўлая

Да сённяшніх дзён не магу паверыць, што на Слонімшчыне ўжо не існуе Вялікакракоцкая сельская бібліятэка імя Янкі Купалы. Яе мясцовыя вертыкальшчыкі ў 2008 годзе зачынілі назаўсёды. Бібліятэка перажыла дзве вайны (польска-савецкую і нямецка-савецкую), рэпрэсіі, калектывізацыю, сацыялізм і ўсе іншыя „ізмы", а цяпер „часоў бурлівы родны мацярык", як пісаў Мікола Арочка, утрымацца не змог. А гэта была **першая** ўстанова культуры ў Беларусі, якой было нададзена імя песняра бе-

ларускага народа Янкі Купалы. У Вялікую Кракотку некалькі разоў прыязджала жонка Янкі Купалы Уладзіслава Францаўна Луцэвіч. Там гасцілі Пятрусь Броўка, Янка Брыль, Сяргей Грахоўскі, Уладзімір Караткевіч, Мікола Аўрамчык, Пятро Прыходзька і многія-многія іншыя беларускія пісьменнікі. Сотні кніг з аўтографамі дасылалі слыннай бібліятэцы беларускія пісьменнікі, сярод якіх быў і Якуб Колас. 80 гадоў адчыняла дзверы перад вяскоўцамі і пісьменнікамі Купалаўская бібліятэка на Слонімшчыне. А сёння яе ўжо няма.

Чаму я так сумна пачаў з Вялікакракоцкай сельскай бібліятэкі, ды таму, што ўдзел у яе стварэнні ў другой палове 1920-х гадоў прымаў таксама і паэт Валянцін Таўлай з суседняй вёскі Рудаўка. Калі ён вучыўся ў Віленскай беларускай гімназіі, для вясковай бібліятэкі са сваімі землякамі ён прывозіў і дасылаў сюды беларускія кнігі і часопісы, што выдаваліся ў Вільні. Беларускія выданні Валянцін Таўлай з сябрамі прывозілі і ў Чамяроўскую сельскую бібліятэку імя Якуба Коласа, якая таксама была адкрыта ў тым далёкім 1927 годзе. Але яна перастала існаваць на Слонімшчыне раней за Вялікакракоцкую бібліятэку.

Прыехаў Валянцін Таўлай з бацькам у вёску Рудаўка Слонімскага павета ў 1924 годзе з Ліды, дзе бацьку звольнілі з працы. У Рудаўцы жыла бабуля – маці бацькі Валянціна. Яна і дапамагала гадаваць Валянціна і яго брата Аляксандра разам з мачахай Сцепанідай Паўлаўнай.

Вёска Рудаўка тады была невялікая, яна налічвала крыху больш за 70 жыхароў. А вось суседняя з Рудаўкай – Вялікая Кракотка па колькасці насельніцтва была ў тры разы большая. Там працавала польская школа, куды і аддаў бацька Валянціна. Вучыўся добра, таму ў чэрвені 1925 года хлопчык паступіў у Слонімскую польскую дзяржаўную настаўніцкую семінарыю. Пра вучобу ў семінарыі Валянцін Таўлай напісаў у сваёй аўтабіяграфіі „Аб сабе", якія ўпершыню была апублікавана ў чэрвенскім нумары часопіса „Полымя" за 1948 год. Нагадаю толькі, што хлопчык у семінарыі вучыўся вельмі паспяхова, атрымліваў стыпендыю. Але за тое, што пры перапісе насельніцтва адмовіўся запісацца палякам, стыпендыю знялі – таму давялося з-за крыўды і беднасці пакінуць вучобу і вярнуцца ў Рудаўку. „Прыходжу дамоў. Расказваю бацьку, што і як. Бацька спахмурнеў. Пакруціў галавой, але за сарваную вучобу не журыў: „Што ж, пасядзі ў хаце, павучыся дома, а на другі год пабачым" – згадвае ў сваіх успамінах Валянцін Таўлай.

У Рудаўцы хлопчык рыхтаваўся да паступлення ў Віленскую беларускую гімназію, дзе ўжо вучыліся знаёмыя хлопцы з Кракоткі, Вострава, Чамяроў, Азярніцы, Мялькававіч і з іншых слонімскіх вёсак. Дапамагала яму ў гэтым мачаха Сцепаніда Паўлаўна.

У верасні 1927 года Валянцін Таўлай стаў вучыцца ў Віленскай беларускай гімназіі. Тут сустрэўся са сваімі сябрамі-землякамі, пазнаёміўся з тымі, пра каго раней толькі чуў. „На гэтага ціхмянага, шчуплага, крыху сарамлівага хлопца спачатку ніхто са старэйшых вучняў не звяртаў увагі. У яго быў адкрыты, з мангольскімі рысамі твар, яшчэ, здаецца, дзіцячыя, але вельмі ўважлівыя і задумлівыя вочы, шырокі лоб і крыху адвіслыя вушы. Ён трымаўся неяк у баку ад іншых вучняў. У час перапынкаў хадзіў адзін па актавай зале з кнігай або сшыткам у руках і паўтараў урокі. Вучыўся добра, і настаўнікі не раз ставілі яго ў прыклад іншым. Ніхто, вядома, і не думаў, што сарамяжлівы слонімскі хлопец з вёскі Рудаўка неўзабаве заявіць аб сабе поўным голасам", – прыгадваў у сваёй кнізе „Маё маўклівае сэрца" пісьменнік Якуб Міско з вёскі Чамяры. Кніга гэта выйшла з друку пасля смерці Якуба Міско ў 1983 годзе. Да друку яе рыхтаваў Янка Брыль.

У Віленскай беларускай гімназіі хлопцы і дзяўчаты з усіх курсаў трохі пазней даведаюцца, як вучыўся Валянцін Таўлай у Слонімскай польскай гімназіі і чаму ён яе пакінуў. І гімназісты распавядалі адзін аднаму пра тое, як у польскай гімназіі ў Слоніме Валянцін, запаўняючы анкету для настаўніка, сказаў, што ён – беларус, што мова яго – беларуская, што жыве ён на Слонімшчыне ў Беларусі… Гэтага было дастаткова, каб больш у польскай гімназіі не вучыцца.



Валянцін Таўлай з жонкай

Наогул, у Рудаўцы Валянцін Таўлай часта праводзіў прапагандысцкую работу, бо на гэта ён быў добры спецыяліст. Як згадвае Павел Кулак у кнізе „Валянцін Таўлай" (Мн., 1984. С.98), Валянцін умеў пагаварыць і са старэйшым, і з малодшым, і з усімі прыходзіў да адной высновы: змагацца за сваё вызваленне. Ён любіў выступаць на масоўках. Аднойчы яго затрымалі ў лесе каля Альбярціна на Слонімшчыне і пасадзілі ў турму. У жніўні 1929 года за ўдзел у канферэнцыі Слонімскага акружнога камітэта камсамола юнака зноў арыштавалі і пасадзілі на 6 месяцаў за краты. У слонімскім астрозе паэт піша вершы:

І сэрца ў сэрца,
як шчасце, паверыць
І соладка таяць пачне…
А раніца збудзіць,
– акутыя дзверы,
Іржавыя краты ў акне…

З Валянцінам Таўлаем слонімцы вельмі любілі сябраваць. І ніхто з іх пры жыцці ніколі нават слоўца дрэннага не сказаў пра Таўлая. Паэт Анатоль Іверс (Іван Міско) мне вельмі часта згадваў пра земляка. Пазнаёміўся ён з ім ў верасні 1927 года. Іверс ужо год вучыўся ў Віленскай беларускай гімназіі, а Таўлай толькі паступіў. Амаль усе прыезджыя жылі ў інтэрнаце, і гэта збліжала, давала магчымасць лепш прыгледзецца адзін да другога. У інтэрнаце часта праводзіліся калектыўныя чытанні лепшых твораў рускай літаратуры, кніг беларускіх пісьменнікаў. Пад кіраўніцтвам старшакласнікаў у гімназіі выдаваліся на шапірографе рукапісныя вучнёўскія газеты і часопісы. І тут не абыходзілася без Таўлая. Ён пісаў вершы, занатоўкі са школьнага жыцця. „Я гэта помню, бо сам прымаў удзел у выпуску некаторых гэтых выданняў. Крыху зайздросціў свайму земляку, што яго вершы друкавалі нават у грамадаўскіх газетах", – распавядаў мне Анатоль Іверс.

Расстаўся Іверс з Таўлаем пад канец 1929 года, калі іх выключылі з гімназіі за ўдзел у вучнёўскай забастоўцы. Іверс вярнуўся на Слонімшчыну, Таўлай апынуўся ў БССР. Аднойчы ў маі 1931 года ён атрымаў павестку з Касцянёўскага паштовага агенцтва, што яму прыйшла пасылка. Пасылка была з Мінска ад Валянціна Таўлая. Паэт прыслаў 7 кніг.

Найбольш памятная сустрэча Анатоля Іверса і іншых слонімскіх літаратараў з Таўлаем адбылася ў Лідзе напрадвесні 1940 года ў час прыезду туды Янкі Купалы да выбаршчыкаў. А ўжо летам 1940 і 1941 гадоў Валянцін Таўлай сам прыязджаў у Слонім, наведваў Рудаўку, Кракотку, Чамяры і іншыя вёскі, дзе прайшлі яго дзіцячыя і юнацкія гады. Памятаю, як Анатоль Іверс мне вельмі часта распавядаў, як ён у пачатку красавіка 1947 года наведаў у бальніцы Таўлая. „Адсунуўшы ўбок ліსткі паперы, з ледзь улоўнай усмешкай ён сказаў: „Доктар абяцаў выпусціць да 1 мая…". Але, як вядома, Валянцін Паўлавіч не дажыў да гэтага дня, ён памёр 27 красавіка 1947 года", – успамінаў з горыччу Анатоль Іверс.



Піліп Пестрак, Валянцін Таўлай, Янка Брыль (злева направа) з жонкай Янкі Купалы Уладзіславай Францаўнай Луцэвіч

Імя беларускага паэта на Слонімшчыне незабыта. Амаль ва ўсіх слонімскіх пісьменнікаў ёсць творы, прысвечаныя свайму земляку. Мікола Арочка ў 1969 годзе напісаў і выдаў асобнай кнігай крытыка-літаратурны нарыс „Валянцін Таўлай". Скульптары Іван Міско і Леанід Богдан зрабілі бюсты Таўлая. У Слоніме, у вёсках Жыровічы і Ганькі ёсць вуліцы, якія носяць імя слыннага земляка.

У 1984 годзе, дзякуючы настаўніцы роднай мовы і літаратуры Раісе Іванаўне Каласоўскай, у Слонімскай сярэдняй школе № 1(цяпер гэта ліцэй) да 70-годдзя паэта быў адкрыты музей-пакой Валянціна Таўлая. Да Другой сусветнай вайны менавіта тут знаходзілася польская дзяржаўная настаўніцкая семінарыя, дзе вучыўся Таўлай. Школьны музей Валянціна Таўлая ў тыя 1980-я гады шмат рабіў спраў па прапагандзе беларускай літаратуры і творчасці пісьменнікаў-землякоў, найперш Таўлая. Савет музея перапісваўся з многімі беларускімі літаратарамі, сюды прыходзілі лісты ад жонкі пісьменніка Лідзіі Сяргееўны, ад дачкі Галіны Таўлай, ад сястры Ніны Паўлаўны. Яго наведвалі экскурсіі з усіх куткоў Беларусі. Многія госці пакідалі свае аўтографы ў музейнай кнізе. Захаваўся аўтограф Дануты Бічэль: „Прыемна бываць у такіх музеях, створаных рукамі і стараннямі саміх школьнікаў і энтузіястаў-настаўнікаў. Думаю, што вобраз паэта-змагара Валянціна Таўлая ў многім вызначыць напрамак грамадскага жыцця тых маладых душ, якія дакрануцца да гэтай літаратурнай з'явы. Дзякуй шчыра".

У 1990-х гадах музей Таўлая ліквідавалі. І толькі нядаўна ў Слонімскім агульнаадукацыйным ліцэі пакой-музей Валянціна Таўлая і літаратурнай Слонімшчыны з'явіўся зноў. Хочацца спадзявацца, што гэта ўжо надоўга.

Сяргей Чыгрын



Сустрэчы, прэзентацыі

Kolędnicze spotkania na Wodochryszcza

Panna Maryja na prystoli stojała
Dwa kryży trymała
A tretim kadiła
Kadetesia liude
Chto w cerkwi bude
A chto ne bude
Bohu świeczku stawte
A nam piruoh dajte
Klio-klio-klio
Odczyniaj panie okno
Na, tobie chrystka
Daj nam pirużka

Przyśpiewka „Panna Maryja" wybrzmiała ponownie po latach zapomnienia. Nie z zapisów wyszperanych w archiwum etnograficznego muzeum, nie w naukowych publikacjach z zakurzonej szuflady. Nikt jej nie przytoczył na scenie, ani w środkach masowego przekazu, a wyśpiewano ją pod oknami kilku białoruskich wsi Podlasia. Okazją do przypomnienia dawnego obrzędu „chrystka" o którym mowa były „Spotkania na Wodochryszcza" zorganizowane w dniach 20-22 stycznia przez Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach.

W kolędniczo-tanecznych warsztatach wzięła udział białoruska młodzież z Chmielewa (rejon Żabinki, obwód brzeski) i Bielska Podlaskiego. Kolędnicy poza Studziwodami zawitali do wsi powiatu hajnowskiego. Ich trasa wiodła przez Policzną, Grabowiec, Dubicze Cerkiewne, Orzeszkowo i Mochnate, gdzie żywiołowo zostali przyjęci przez mieszkańców. Goście zza granicy – zespół „Daronosica" – zaprezentowali noworoczne tradycje swego regionu. Pomiędzy kolędami młodzież bawiła gospodarzy podlaskich domów zabawnymi inscenizacjami, m.in. ratowania od śmierci kozy, pokazem tresowanego niedźwiadka oraz wróżeniem Cyganki. Podlasie reprezentowali „Żemerwa" (studio folkloru tradycyjnego działające przy studziwodzkim muzeum) oraz „Żeużyki" (uczniowe bielskiej „Trójki").

W obrzędzie „chrystka", odbywającego się po święcie Chrztu Pańskiego, brały udział dziewczęta. Chodzono grupami, wyśpiewując pod oknami gospodarzy przyśpiewkę „Panna Maryja". W podzięce za *pirożka* wręczano gospodarzowi gałązkę (chrystok) dębu, znanego z tego, że aż do wiosny zachowuje liście. Gałązka powinna być przewiązana kolorową wstążką. Obrzęd zapisano w Orzeszkowie (gm. Hajnówka).

Imprezę współorganizowała Fundacja Domów Kultury Prawosławnej, Parafia Prawosławna i Gminne Centrum Kultury w Dubiczach Cerkiewnych oraz Sołectwo wsi Mochnate. Spotkania odbyły się w ramach białoruskich warsztatów etnograficznych Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, dofinansowanych przez Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji.

Tomasz Sulima



Fot. Doroteusz Fionik



Kolędnicy poza Studziwodami zawitali też do wsi powiatu hajnowskiego

Do polskiego Białorusina na emigracji

Listowanie z Jasiem Turonkiem

Jasiu,

Twój krótki list poruszył mnie do głębi, której przed jego przeczytaniem nawet u siebie nie podejrzewałem. On poruszył mój pierwotny rdzeń świadomości. Oto stanąłem, jak bezbronne dziecko, przed znakiem twego zapytania...

Co do konkretów – to tak, żyję jeszcze i powiem ci, że powoli wydobywam się z okowów chorobliwości ciała, z wdzięcznością i na kolanach przyjmując nową ofiarę dalszego żywota. PO WEK WEKÓW.

...czasem pojawia się pierwsze zdanie, zapłodnione i prawdziwie wolne, ale jednak nie ... za wcześnie, za mało, niewystarczająco krótkie... Jeszcze nie pora, jeszcze nie czas – jak mówiła mama sierotki Marysi.

Z wiadomości kulturalnych, dziś byłem w operze. Na balecie Woyzeck. Podobało się. Klaskałem czas jakiś. Dzięki nowym butom w stylu punk, wełnianym, szarym spodniom, czarnej koszuli i wełnianej popielatej marynarce o trzech guzikach, czułem się swobodnie w poczekalni operowego foyer. Potem, już w ciemnościach spektaklu, wędrowałem po powierzchniach przygodnych świadomości, patrząc oczyma a to pana ze środkowych rzędów, a to basowej saksofonistki, a to w końcu własnymi gałkami, na cały ten spektakl. Na chwilę, którą tak naiwnie uważamy za teraźniejszość. No cóż, jeszcze nie pora widać, jeszcze nie czas...

Pozdrawiam cię zatem artystycznie i idę zapalić papierosa.

Na taras. Teraz.

Z baletowym, fioletowo-różowym ukłonem

Jaś,

Masz rację, że pytajnik kończący twierdzenie znosi racje jego bycia twierdzeniem. Powinienem był napisać w moim krótkim liściku do Ciebie nie pytajnie, a wykrzyknikowo – „Jasiu!”. Źle to wymyśliłem, bo sądziłem, że na moje „Jasiu!” odpowiesz „Nu?”, a ja wtedy odpowiedziałbym filozoficznie – „Nu, nu” i wszystko byłoby wiadomo. Ale Ty nie, od razu we mnie Voyzeckiem! No to niech Ci będzie, chciałeś to masz...

Voyzeck – czy Alana Berga? – zawsze mnie przygnębiał. I jednocześnie pociągał. I jako postać zrodzona z brudu ludzkiej kreaturności, i jako niedopowiedziana historia wywiedziona ze światłocienia. I wreszcie jako muzyczne BUM! A już Voyzeck bergowski przyciągnął mnie jak ćmę do światła, zaiste, może dlatego, że takiej ekspresji, takiej subtel-

Радкі з лістоў, адгалоскі

Szanowna Redakcjo!

Na str. 34 styczniowego,, Czasopisu” Sokrat Janowicz pisze: „Postrzeliła Lenina niejaka Kapłan z Krynek”. Skąd takie twierdzenie? Zawsze sądziłem, że Fanny Kapłan pochodziła z Wołynia. Tak zresztą pisze tak polska, jak i rosyjska Wikipedia. Przytaczam fragment.

Z uszanowaniem

***Dymitr Szatyłowic**z*

***Fanny Jefimowna Kapłan**, ros. Фанни Ефимовна Каплан, posługująca się nazwiskiem Dora Kapłan, właśc. **Feiga Chaimowna Rojtblat-Kapłan** (ur. 10 lutego 1890 w guberni wołyńskiej, ros. Волынская Губерния, na Ukrainie, zm. prawdopodobnie 3 września 1918 w Moskwie) – prawdopodobna wykonawczyni zamachu na Lenina.*

Urodzona w rodzinie ukraińskich Żydów jako jedno z siedmiorga dzieci. Już w młodości przyłączyła się do środowisk anarchistycznych. W 1906 roku po związaniu się z eserowcami trafiła na zesłanie do wsi Nowy Akatuj na Syberii, skąd została uwolniona w trakcie rewolucji lutowej.

30 sierpnia 1918 roku przeprowadziła nieudany zamach na Lenina podczas wiecu w Zakładach Michelsona w Moskwie. Oddała trzy strzały, z których dwa raniły Lenina, a jeden trafił kobietę stojącą nieopodal. Została aresztowana i wkrótce rozstrzelana, co dało jednocześnie początek fali aresztowań i procesów eserowców (których oskarżono o organizację zamachu, mimo że Kapłan prawdopodobnie nie była związana z tą partią), anarchistów oraz kontrrewolucjonistów, określanego (także oficjalnie) jako „czerwony terror”.

Istnieje podejrzenie, że Fanny Kapłan nie mogła samodzielnie zaplanować i przeprowadzić zamachu ze względu na zły stan zdrowia. Faktem jest, że miała ona bardzo słaby wzrok i mimo że strzelała z niewielkiej odległości, chybiła. Co więcej, w czasie przesłuchania ponoć nie umiała powiedzieć, z jakiej broni strzelała.

nej frazy dodekafonicznej nie spotkałem u żadnego innego kompozytora. No, moze poza Schonbergiem, ale ten to już ciął i giął dźwięki zupełnie po wariacku. Albo jak demiurg.

Ale wracam do Voyzecka – według mnie jest w nim tyle samo muzycznego światła, co egzystencjalnego cienia i obie te treści są w dynamicznej opozycji. Tam się wciąż coś waży, coś zmaga ze sobą. Tam jest światłocień – życie, śmierć – zarazem. I już to wystarczy, by przesądzić o nim jako o arcydzielnej pułapce czasu. Ja się w niej zaplątałem do cna. Podobnie jak kiedyś w Velazquezie, u którego bezkształty wciąż transmigrują do kształtów, a te stają się znowu bezkształtami. Nie do opisania to. To trzeba doświadczyć. Co nie znaczy, że tylko na Bergu, na Velazquezie. Ja tego doświadczyłem na samym sobie. I wiesz co, panie Janku, zapragnąłem o tym komuś powiedzieć. Wypadło na Ciebie – bęc! Tak więc BUM i BĘC – słyszysz te dodekafonie, widzisz ten światłocień? Nie? Jeszcze nie? To czytaj mnie...

W światłocień, w dodekafonię zanurzyłem się dwukrotne – dwukrotnie. To znaczy raz dwukrotnie w NY, a minionej zimy też dwukrotnie w drodze do Rybak. O tych ostatnich doświadczeniach nie umiem jeszcze mówić. Ale o tych z NY, proszę bardzo, już mogę...

Po raz pierwszy było to wtedy, gdy urwała się jedna z dwóch nośnych lin kładki, na której pracowaliśmy zawieszeni na 92. piętrowcu sąsiadującym z owym apartamentowcem, w którym mieszkał Lenon i w którego bramie zamordował go jakiś szaleniec. Stoją zaś one vis-a-vis Central Parku. Jest tam jeziorko, po którym pływają małe łódeczki. A w nich ludziki przebierają co sił wiosełkami. A te wiosełka cieniutkie jak rzęsy okalające oko. A to oko... – Ku-wa – zakląłem, o co chodzi z tym okiem?! Dyndałem, jak pajacyk, ale nie drewniany, tylko wciąż żywy, zawieszony na lince bezpieczeństwa sto metrów nad ziemią. W dole szumiała ulica pędząca autami, kilka metrów ode mnie, uczepiony kładki jak kleszcz źdźbła trawy, kwami i ujami opędzał strach mój partner. A ja wyłem z bólu, bo szelki, do których byłem upięty, werżnęły się w jaja – w moje jaja! Ale nijak nie potrafiłem ich oswobodzić, bo nawet noża nie miałem przy sobie, żeby przeciąć te cholerne szelki i wreszcie uwolnić się od bólu. Od życia. I nagle oświeciło mnie – BUM! To oko, to wcale nie oko, a kropelka żywej wody, która właśnie spada w przepaść.... A te łódeczki, to nie łódeczki, tylko ślizgające się po jej powierzchni człekocienie. Wtedy po raz pierwszy w życiu poczułem się naprawdę żywy. Ale wiesz co, Janku, jak dzisiaj o tym myślę, to coraz bardziej jest to dla mnie ciemne.

A drugi raz zdarzył mi się, gdy też pracowałem na kładce. Było to przed końcem roboczego dnia, właśnie zjeżdżaliśmy z 43 piętra na dół. Nagle od pobliskiej East River ukośnym lotem przemknął mimo nas mały samolocik, ale to tak blisko, że podmuch śmigła strącił memu partnerowi kask z głowy. Ja zaś zobaczyłem wykrzywioną twarz pilota. Chwilę potem samolocik PIERDOLNĄŁ w wieżowiec stojący po drugiej stronie ulicy. I tyle. Chociaż nie. Siła zderzenia a potem wybuchu paliwa była tak wielka, że najpierw odbiło nas od ściany na odległość 5-7 metrów, a potem – sądzę, że utworzyła się między nami a ścianą strefa podciśnienia – bo gruchnęło kładką z takim impetem, że pospadaliśmy z niej niczym ulęgałki, a sama kładka wbiła się w ścianę. Ja przy tym nadziałem się twarzą na jakiś wystający drut i potem miesiąc kurowałem rozorany policzek. Mojemu partnerowi, na szczęście, nic się nie stało. Dyndaliśmy na linkach bezpieczeństwa bodajże na wysokości 30 piętra, mniej więcej na tej samej wysokości płonął uszkodzony wieżowiec, wyły syreny, wył kolega, zawieszony jak nietoperz głową do dołu, gdyż linka bezpieczeństwa boleśnie zadzierzgnęła się wokół jego stopy, wszędy wiły się kłęby dymu i... nagle rozchlapały się wokół nas czarne kropeczki – pac, pac, pac! Na dole, w oknach mieszkań, na dachu. To byli „czarni" z karabinami maszynowymi, brutalni, szybcy, bezwzględni. Zaczęli wciągać mnie na dach, nie patrząc, że obijam się o ścianę, o wystające parapety, o jakieś szyny. I od razu, już na dachu, rzucili mnie twarzą do ziemi. – Kto ty jesteś! – darli mordy... Wtedy właśnie poczułem się jak Voyzeck i kto wie, czy nie powiedziałem nawet: Jestem Voyzeck!

Akurat wcześniej byliśmy z moją ukochaną w Metropolitan Opera na bergowskim Voyzecku. Do Metropolitan chadzaliśmy zresztą często, dzięki naszej przyjaciółce pracującej tam jako sprzątaczka. Jako sprzątaczka – zauważ tylko – miała ona comiesięczny bonus w postaci darmowych wejściówek. Będąc jednak z wykształcenia polonistką spod Sokółki, co w Ameryce zdało się na tyle, żeby nadać się do sprzątania, doszła do wniosku, że raczej powinna doskonalić się w roli sprzątaczki niż prowincjonalnej intelektualistki, co skutkowało tym, że nabyła wstrętu do światła sztuki. Wprost przeciwnie do mnie, który na podobieństwo nocnej ćmy nabyłem niebezpiecznej skłonności do artystycznego fototropizmu. Wcześniej zresztą, jak wiesz, też go przejawiałem, ale nie miałem świadomości jego konsekwencji. A tę zrozumiałem dopiero wtedy, gdy wisząc na linie, by nie zeszczać się i nie zesrać ze strachu, nuciłem sobie fragmenty przypomnianego nie wiedzieć dlaczego Voyzecka. Wtedy też wypoczwarzyłem się z kokonu ludzkich kompleksów, osobistych uraz i pretensji do wielkiej literatury i wreszcie nauczyłem się... swoich skrzydeł. Kiedy mnie wyciągnięto na dach, wciąż nuciłem interludium Voyzecka. Więcej nic ponad to, co opisałem, nie pamiętam. I może tak trzeba, bo inaczej nie mógłbym latać. To i cóż, że jak ćma, nisko a ciężkawo? Latam przecież. Muszę tylko uważać, by nie przekroczyć kręgu cienia, bo obciążenie fototropizmem powoduje, że ćmy ciałopalą się w świetle. Ale jakże ja tęsknię do tego!

Pozdrawiam Cię furkotem skrzydeł. Uważaj, nie zapalaj nocnej lampki!

***Mirosław Gryka**, Rybaki*



Сёлета спаўняюцца 122 гады з дня нараджэння беларускага паэта-дэмакрата Івана Дарашкевіча, літаратурны псеўданім якога Янук Д. Ладзяцца вечарыны, выставы (на жаль, зборніка яго вершаў так і не ўбачыў чытач). Бераставіччына ганарыцца, што асноўны перыяд творчай біяграфіі паэта звязаны з нашым краем, хаця аб гэтым далёка не ўсе ведаюць. У „Энцыклапедыі літаратуры і мастацтва Беларусі” гэтаму паэту прысвечана толькі...

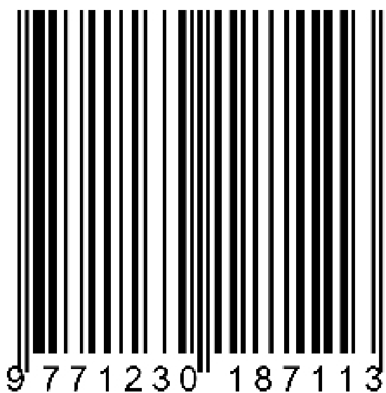


У „Гісторыі беларускай савецкай літаратуры”, выдадзенай у Мінску ў 1964 годзе, Уладзімір Калеснік пісаў: „Галоўнай фігурай сярод нацыянал-дэмакратаў быў Казімір Сваяк. На яго арыетаваліся А. Бартуль, Ф.Грышкевіч і некаторыя іншыя”. У рускамоўным выданні гэтай кнігі (1977) сказана, што „дань эстетским вывертам отдавали начинающие авторы из студенческой молодёжи (Е.Бартуль, Ф.Гришкевич и др)”. Камент... (dalej w kolejnych numerach)

Czasopis

Nr indeksu 355035, ISSN 1230-1876.
Wydawca: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich.
Adres redakcji:
Białystok, ul. Lipowa 4/221.
Adres do korespondencji:
„Czasopis”, 15-001 Białystok, skr. p. 262. **E-mail**: redakcja@czasopis.pl
http://czasopis.pl
Tel. (85) 653 79 66

Redaktor naczelny: Jerzy Chmielewski, tel. 502 661 316.
Zespół redakcyjny: Wiesław Choruży, Helena Kozłowska-Głogowska, Sławomir Iwaniuk, Tomasz Sulima (sekretarz redakcji), Jerzy Sulżyk.
Stali współpracownicy: Piotr Bajko (Białowieża), Tamara Bołdak-Janowska (Olsztyn), Agnieszka Goral (Lublin), Mirosława Łuksza, Janusz Korbel (Białowieża), Aleksander Maksymiuk, Jan Maksymiuk (Praga), Michał Mincewicz (Orla), Dorota Wysocka.
Druk: Orthdruk, Białystok.



Prenumerata: Odpowiednio do liczby zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 4 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich: Bank PEKAO S.A. Białystok 30 1240 5211 1111 0000 4928 9343.

Беларускі грамадска-культурны часопіс, прысвечаны пытанням сучаснасці, гісторыі, літаратуры і мастацтва, месца чалавека ў свеце. Форум думкі беларусаў і ўсіх тых, каму блізкая беларуская тэматыка. Пазіцыі аўтараў тэкстаў не заўсёды адпавядаюць пазіцыям рэдакцыі. Не публікуюцца матэрыялы, якія прапагандуюць камуна-фашызм, расізм, нацыянальную варожасць.
Artykuły i listy publikowane są – o ile autor nie życzy sobie inaczej – w języku oryginału: po polsku lub białorusku. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Administracji i Cyfryzacji.

Numer złożono 26 stycznia 2012.